

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 50. Warszawa, dnia 4 (16) Grudnia 1875 roku. **Rok 11.**

CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu	na prow. w Cesar. i Królest.
rocznie . . . . . rs. 6 k. „	rocznie . . . . . rs. 8 k. —
półrocznie . . . „ 3 „ „	półrocznie . . . rs. 4 k. —
kwartalnie. . . „ 1 „ 50	w Krakowie rocznie z stemplem dzienn. Złr. 10.
miesięcznie. . . „ „ 50	w Galicyi Złr. 11 cent. 50. w Prusach roczn. 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY
wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w księgarni A. Kowalskiego przy ulicy Nowy-Świat Nr. 39 nowy; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni Gebethnera i Spółki, *w Wilnie* u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

Słówko do Czytelników.

Wytworzyć organ któryby dotykając najbliżej nas obchodzących spraw rodziny i społeczeństwa, umiał obok postępowej dążności uszanować racyjonalnie pojętą tradycyją, i był ogniwem wiążącem w pracy dwa następujące po sobie pokolenia wspólnością zadań i celów, oto myśl jaka nam przewodniczyła, gdyśmy w roku 1872 obejmowali redakcyją i wydawnictwo pisma tygodniowego **„Opiekun Domowy.“**

Wkrótce już boz dniem 1-ym Stycznia 1876 r. rozpocznie się *piąty rok* działalności naszej, a o ile w ciągu lat minionych potrafiliśmy pierwotnemu założeniu zadość uczynić, o ile dotychczasowa praca nasza użyteczną była—nie do nas sąd o tem należy.

Wolni od zarozumiałości wszelakiej, wiemy sami jak liczne są jeszcze braki pisma, wiemy jak daleko jeszcze do tego aby **„Opiekun“** mógł spełnić to co zamierzył, aby stanął na wysokości zadania, i to tylko jedynie z dumą pewną przyznać sobie musimy, żeśmy mimo trudnych nieraz warunków nie ustawali w pracy ani na chwilę, żeśmy owszem dokładali wszelkich starań iżby pismo ożywić, iżby je poczytnem, prawdziwie



Młoda Włoszka.

pożytecznem, a stąd niezbędnem u każdego rodzinnego gniazda uczynić.

W roku przyszłym znowu o krok jeden naprzód postąpić pragniemy... Takie prace jak „Skarbiec katedry Wileńskiej,“ „Historyczne znaczenie *liberum veto*,“ „Ziemia przed potopem“ (Figuiera), „Słońce“ (Amadeusza Guillemina), „Oszczędność“ (Samuela Smilesa), które oprócz innych wielu, bądź w całości, bądź w wyjątkach lub streszczeniu, pomieścimy w łamach **„Opiekuna,“** podniosą wartość jego literacką i naukową, liczne zaś i dokładne drzeworyty, wyborowe powieści oryginalne i tłómaczone, złożą się na wypełnienie pozostałej *przyjemnej*, że się tak wyrazimy strony pisma.

Wprowadzając od Nowego Roku, **mody damskie, męskie i dziecinne,** nie mamy też bynajmniej na względzie wtłaczać w ramy pisma jak największą rozmaitość przedmiotów, nie mamy zamiaru jakeśmy to już na innem miejscu oświadczyli, konkurować z pismami modom poświęconemi.

Dział ten w **„Opiekunie“** inna owszem zupełnie, wywołała potrzeba.

Nie uchybimy nikomu, gdy powiemy, że dotąd podawano u nas mody najwytworniejsze, z najpierwszych magazynów zagranicznych, mody jednem słowem najkoszto-

wniejsze, które w tak nawet jak Francyja bogatym kraju, nie dla wszystkich są dostępne. W kraju jak nasz ubogim, strojów tak przesadnych naśladować nie można... Podając wzory ubrań gustownych, ale odpowiednich i tanich, sądzimy, że dobrą tym zrobimy ogółowi przysługę.

Abyśmy w imie Boże wszystkiemu temu podołać mogli, potrzeba nam szerokiego wśród rodzin naszych poparcia.

O poparcie to z całem zaufaniem odnosimy się do dzisiejszych czytelników naszych, ich to bowiem życzliwości zawdzięczamy, iż pismo rozwijać się dotąd zdołało. Prospekt jaki dołączamy ułatwi tym, którzyby prośby nasze uwzględnić zechcieli, rozszerzenie pisma w kółkach swoich znajomych, a gdyby każdy z czytelników jednego nam tylko przysporzył prenumeratora, jużby **Opiekun** stanął na drodze najpomyślniejszego rozwoju; jużby potrafił odpowiedzieć potrzebom rodzin naszych, pomagać im skutecznie w pracy, pokrzepiać je i rozweselać w smutku...

* * *

Polecamy też Wam czytelnicy łaskawi, wydawnictwo pod tyt: **Wychowanie domowe**, składające się 25 dzieł oryginalnych, mających za przedmiot początkowe wychowanie i wykształcenie młodzieży. Bliższe o niem szczegóły również w prospekcie o jakim mowa znajdziecie.

* * *

Skład główny i ekspedycyja pisma z księgarni pana Adolfa Kowalskiego do nas z nowym rokiem wracają, a względ na interes własny uwalnia nas od zapewnień, iż starać się o to będziemy, aby w odbiorze pisma nikt nie był nigdy na najmniejszą narażony zwłokę.

Nadsyłanie przedpłaty wprost pod adresem wydawcy J. Korzeniewskiego, ulica Święto-Jerska, Nr 12 nowy — ułatwi nam również dokładność ekspedycyi, droga bowiem pośrednia nie zawsze dogodną bywa.

ŻYCIE I OBYCZAJE ROŚLIN.

(Dokończenie.)

Często sama natura tworzy podobne szańce z gatunków *Opuntia Echinocactus*; *Echinocereus*, i z tak zwanych *świec kaktusowych*. Świece te wielkości dębów, ponure, nagie, samotnie wzrastające, sterczą prostopadle, strasząc zdala przechodnia.

Siła życiowa kaktusów iście zdumiewająca. Stawiają one czoło burzom za życia, ba, nawet i po śmierci. Gdy łodygi ich utracą soki, tkanka tworzy wówczas siatkę oczkowatą pustą, twardą i krzepką, równie jak żyjąca roślina.

Gdy wiatry dmą od morza w ową siatkę, daje się słyszeć w powietrzu osobliwsza muzyka, przypominająca jęki konającego. Kaktus, ten dziki mieszkaniec pustyni, przyodziewa się w barwy sine, posępne, jak ich charakter. Zwierzęta stronią od tych poczwar, przerażone samym ich widokiem, ptastwo strwożone od nich odbiega, człowiek je omija, niechcąc narażać się na ukłucia. Ojcem kaktusów — słońce, matką puszcza; poznać to można z ich kwiatów przepysznie zabarwionych. W porze rozkwitu, kaktusy wydają wielkie pąki przedłużające się szybko i nabiegające kolorami. W pośród ciszy nocnej otwierają one swe kielichy, a nazajutrz przy brzasku rannym, pustynia obchodzi święto uroczyste. Zaledwie słońce rzuci pierwsze promienie, a już występują purpurowe róże, złote i srebrne gwiazdy i szkarłatne wstęgi z ognistemi językami; przecudne te kwiaty wczoraj jeszcze kryły się w kielichach nie objawiając śladu życia, dziś rozwinięte roztaczają się w całej pełni. W tej chwili godowej kaktusy, wyziewają woń aromatyczną, zapełniającą powietrze pustyni.

Prawie wszystkie kaktusy rodzą owoce jadalne. Nadajemy nazwę *fig indyjskich* wielkim opuncyjom meksykańskim, i małym różanym jagodom mamilaryj, zawierającym sok słodki a zarazem kwaskowaty, przypominający smakiem nasze porzeczki.

Kaktusy krzewić się mogą na wyżynach niepospolitych; znajdujemy je w Andach i na płaskowzgórzu peruwiańskiem, to jest w wysokości sięgającej 16,000 stóp.

Pod zwrotnikami rozpostarło się państwo lijanów, to jest roślin pnących się, pokrewnych powojowi. Obyczaje lijanów są ohydne; przypatrzcie się tym drzewom skrępowanym przez ich wężowate ramiona, drzewom konającym powolnie w ich straszliwym uścisku, chociaż tak strojnym w chwili śmierci, a nie będziecie się dziwić że nazwę lijany roślinami zbójeckiemi. Przypominają one całem swem życiem i obyczajami oprawców torturujących swe ofiary. A jednak lijany są nieporównanemi artystami nawet w zadawaniu katuszy, rozpinają prześliczne sznury wonne na około nieszczęśliwego drzewa i zdają się pysznić z tej sztuki. Wdzierają się one do wnętrza tkanki pomimo twardej kory. W potężnym ich uścisku zatamowane soki drzewa i nagromadzone w jednych miejscach tworzą guzy, powstające również i na roślinie pasożytnej. Guzy te rosną, pękają i jednoczą się z sobą w sposób najrozmaitszy. Niektóre gatunki fig i palm trzcinowych kolosalnej długości, rzucają się na swą ofiarę niby węże dusiciele, wkrótce też drzewo w ich splotach umiera. Jak widzimy i w królestwie roślinnem istnieją morderce, spełniają się krwawe dramaty w ciszy lasów. Jakże nam nie stawić tych złoczyńców pod pręgierz opinii publicznej, przemilczeć o ich haniebnych sprawach, dokonywanych tak jawnie i bezwstydnie.

Świat roślinny przedstawia nam najrozmaitszą mozajkę, w której na osobliwościach nie zbywa. Pod tym względem w pierwszych planach przedstawiają się *Nepenta, Saracenia, Wallisneryja* i *Welwiczyja.*

Nepenta tworzy oddzielną rodzinę w której gatunki *Nepenthes distillatora* krzewią się w Indyjach, *Nepenthes phylamphora* na Madagaskarze, *Nepenthes gymnamphora* w Jawie, *Nepenthes Rafflesiana* w Singapur. Ta ostatnia jest bez wątpienia najpiękniejszą.

Wyobraź sobie czytelniku dzbanuszek czy amforę, przyczepioną do liścia, amforę z krawędzią pręcikowaną, z błoniastemi skrzydełkami, przeróżnie zabarwioną, zaopatrzoną w nakrywkę, wytwornie wygiętą, która za pomocą ruchomej zawiaski, otwiera się i zamyka odpowiednio do godzin dnia i stanu temperatury. To dopiero wygląd jednego listka nepenty, ile listków tyle i amfor liczy nepenta, każdy tego rodzaju dzbanuszek, zawiesza się na długiej nitce liściennej i kołysze się na powietrzu. Nie dość na tem, każdą z tych amfor zapełnia woda czysta, jakby zaczerpnięta była ze źródła. Z rana ten zbiornik bywa zamknięty, otwiera się zaś w godzinach upału dziennego, w skutek czego odparowywa część płynu, który napełnia znowu roślinę w ciągu nocy. Codziennie z rana jutrzenka zastaje amforę pełną wody i szczelnie osłoniętą nakrywką.

Nepenta dystyluje wśród milczącej nocy wodę, aby nią orzeźwić spragnionego wędrowca, znużonego podróżą lub ptaka poszukującego wody w tych szlakach rozpalonych od słońca.

Piękneż to życie nepenty. Z pozoru to elegantka uchylająca się od wszelkiego trudu, pragnąca tylko wystroić się; błysnąć wdziękiem, w rzeczywistości jednak strojnisia jest sumienną i użyteczną pracownicą.

Saracenija przedstawia się już inaczej, niedba o strój a całe jej życie zapełnionem jest równie pracą dystylowania wody. Liście saracenii zwinięte w trąbkę, zakończone są w górze grzebieniem ofrendzlonym. Ta długa jej rura, przy otworze wywinięta, z czerwonemi żyłkami, oblamowana szkarłatem, to wodozbiornik; osłania go grzebieniasta nakrywka, która unosząc się odkrywa czarę zapełnioną płynem orzeźwiającym.

Wallisneryja jest prześliczną rośliną, żyjącą w wodach południowej Francyi. Należy ona równie jak palma do rozdzielno-płciowych, to jest kwiaty jej słupkowe nie mieszczą się na tymże osobniku co kwiaty opatrzone pręcikami. Owóż te ostatnie przytwierdzone do bardzo krótkiej szypułki i pomieszczone w ciasnej pochwie kwiatowej, nurzają się w głębi wody, kwiaty zaś opatrzone słupkami, skręcone spiralnie na końcu długich łodyg, dotykają powierzchni wody.

Opylenie kwiatów słupkowych czyli żeńskich, pomimo ich oddalenia od kwiatów męskich to jest pręcikowych, następuje przecież w bardzo prosty sposób.

I tak w pochwie kwiatów zatopionych, krótka szypułka łamie się, pochwa pęka i wyswobodzone z więzienia kwiaty wypływają na powierzchnię wody, niby garść białych pereł. Zaledwie wypłynęły a już otaczają ze wszech stron kwiaty słupkowe, i obrzucają je pyłkiem pręcików, po dokonaniu tej ważnej, ba powiedzieć trzeba najważniejszej sprawy życia, kwiaty pręcikowe znikają gdzieś w topieli, gdyż dzieło opylenia dokonanem zostało.

Pozostawiając je tam, przejdziemy na pustynię, na piaski środkowej Afryki rozpalone od żaru słonecznego. I cóż tam napotkamy, oto płaty olbrzymie, czarne chropawe porozpękane jak skóra, to welwiczyja.

Co znaczą te zwoje skórzane? To ni mniej ni więcej, tylko liście, których przecież liczba zaledwie dwóch dochodzi. Tworzą one zrazu płaty rozesłane na ziemi trzy lub cztery stopy szerokości a dwie długości mające. Wszakże w tej rozognionej temperaturze, starzeją się one bardzo prędko, co gdy nastąpi skręcają się w zwoje. Od podstawy każdego liścia przy-

pominającego rzemień, wznoszą się wówczas łodygi kwiatowe, ułożone na sobie niby materacyki, które rozpościerając się coraz więcej, tworzą na końcu jednęczarniawą powierzchnię.

U welwiczyi więc łodygę stanowi płat poziomo się ścielący, liście przedstawiają się w postaci rzemieni skórzanych, kwiatami zaś są owe materacyki. Wszystko to pączkuje, kwitnie i owocuje.

Odmienny a jednak niemniej osobliwy ustrój reprezentują nam czułki, należące do rodziny strączkowych (Leguminosae).

Czułek, jestestwo wątłe, niezmiernie wrażliwe, ma liście pierzaste, podobne kształtem do motyli, rozwierające się i stulające. Najlżejsze potrącenie tej roślinki, para wodna, woń unosząca się w powietrzu, cień rzucony przez jaki przedmiot — wszystko to wpływa na stulenie listków czułka wstydliwego. Opium działa nań podobnie jak na organizm zwierzęcy, usypia go, nawet może zabić, jeżeli zadanem będzie w zbyt wielkiej dozie. Czułek za zbliżeniem się człowieka, zamyka listki, otwierające się dopiero wówczas, gdy tenże się oddali. I rzecz dziwna, w chwili odebrania wrażenia czułek przesyła sygnał trwogi swym towarzyszom, jakby posługiwał się telegrafem. Nadmienić mi potrzeba, że czułek może przyzwyczaić się do takich wrażeń, jak o tem przekonały doświadczenia. Zamknięty w powozie czułek zamyka listki, turkot kół widocznie wpływa na jego układ nerwowy; stopniowo jednak przywyka do ruchu, otwiera listki znosząc z rezygnacyją nudy podróży.

Czyż w tej roślinie tak wrażliwej nie napotykamy objawów pokrewnych rzeszom zwierzęcym? Czy lękliwość jego nie ma pewnego podobieństwa z wstydliwością dziewicy? Są to analogije, które oddawna zwracały uwagę przyrodników; są to zjawiska tak charakterystyczne, że tworzą istotne rysy obyczajowe tych jestestw, odróżniających się od siebie nietylko kształtem, barwą i wonią, ale nadto własnościami nieraz wielce osobliwemi.

Do rodziny motylkowych (Papilionaceae), należy też *wahadlik bengalski*, spełniający nieustannie ruch, zależny jak się zdaje od temperatury. Roślina ta składa się z trzech listków, z których dwa boczne, mniejsze, ożywione są ruchami, tak w ciągu dnia jak i w nocy, pod wpływem wilgoci i suszy. Ruch ten podobny do zegarkowego bywa podwójny. Wahadlik okręca się na około swej osi, przyczem jeden listek wznosi się, drugi zaś jednocześnie obniża. Im ciepło i wilgoć wyższego dochodzi stopnia, tem ruchy są szybsze.

Wahadlik znajduje rywalkę w *muchołówce* (Dionea muscipula). Liście jej zakończone są dwiema blaszkami zaokrąglonemi włoskowatemi, połączonemi z sobą przez sprężystą zawiaskę. Oto pułapka, zobaczmy teraz przynętę. Na powierzchni górnej każdego z tych liści znajduje się mnóstwo małych gruczołków dystylujących płyn cukrowy. To przyrząd zaiste godny bliższego w nim rozpatrzenia się. Przelatuje muszka, dostrzega płyn słodkawy i pragnie bardzo naturalnie go zakosztować. Czegóż ma obawiać się zresztą owad napastujący nawet człowieka, rzucający się natrętnie na jego pożywienie? Owóż muszka dostrzega kwiat i siada sobie bez ceremonii na jego czerwonawym listku. Ale w tejże chwili podrażniona muchołówka zaciska swe listki, muszka zostaje pochwycona. Zżyma się, szamocze; napróżno; im więcej się trzepocze, tem silniej ścieśniają się kleszcze, drażnione poruszeniami owadu. Muszka w końcu wydaje ostatnie tchnienie w żelaznym uścisku rośliny, protestując przeciw zdrajczyni względem której, zdaje się jej, niczem nie zawiniła. Wówczas to muchołówka rozwija drapieżne swe listki różane, cukrowe, ponętne a tak bezlitośne. Zjakiej przyczyny roślinka spełnia to nieużyteczne i niczem nieusprawiedliwione napozór zabójstwo? Gdyby jeszcze pożerała swą ofiarę, bądź co bądź możnaby uniewinnić ją, wymaganiami głodu. Nie rzucajmy przecież anatemy na muchołówkę. Czy znalazłeś się kiedy człowiecze w tem położeniu co podobna muszka; tak niby niewinna, siada ci przypuśćmy na nosie lub wdziera się do twych nozdrzy? Jeżeliś oburzony do żywego nieznośnem łachotaniem, pochwycił sprawczynię twych cierpień i zdusił ją ze złością w ręku, nie dziwże się roślince, niemniej srodze rozdrażnionej spacerem nóżek muszki po czułym niesłychanie jej listku. Z tych uwag niepodobna muchołówki bezwzględnie potępiać, biegły rzecznik mógłby ją obronić w sądzie, i złagodzić wyrok, ha, może nawet całkiem uniewinnić roślinę, której owad najwyraźniej zakłócił spokój w jej własnym domu. Bądź co bądź niepodobna mi muchołówki zaliczać do zbrodniarek, zabija ona tylko napastnicę wdzierającą się bezczelnie w jej progi rodzinne; ma więc wszelkie prawo skarcić zuchwałość.

Przechodzę do innego całkiem rzędu roślin, do krzewiących się w trawie wilgotnej, pod zimnemi głazami, w głębi jaskiń i w nizinach samotnych. Krzewi się tam jestestwo lepkie, sine, podejrzanej powierzchowności, grzyb. Z wyjątkiem niektórych gatunków, grzyby składają rodzinę niebezpieczną, rozradzającą się na ciałach uległych gniciu, żyjącą kosztem istnienia innych istot, wietrzącą z daleka, jak sępy woń trupią. Oto drzewo schorzałe, rozpatrzcie się w niem uważnie, a dostrzeżecie grzyby. W płynie fermentującym, w owocu skwaśniałym, w chlebie spleśniałym, rozradzają się nitkowate grzyby zwane *pleśniami*.

Grzyb wegetuje wszędzie i rozsyła swe groźne niezliczone legije, tak w postaci drobnych zielonawych pleśni jak i kolosalnych roślin pasożytnych, rozwija się nawet w organizmie zwierzęcym. Jedne z tych pasożytów toczą włosy człowieka i są przyczyną choroby zwanej *kołtunem*, inne wdzierają się do płuc i tam sprowadzają nieuleczoną chorobę *suchoty*. Te zapełniają nasze przewody słuchowe, tamte rozmnażają się na owadach, żyją w oczach pszczół, lub pod pokrywami skrzydłowemi żuków. Nie ma ani jednej tkanki w ciele człowieka i zwierząt, któraby nie mogły objąć w posiadanie, potworne pasożyty zwane grzybami.

Rośliny te już samym swym wyglądem podejrzanym odstręczają. Dostrzegasz rydz lub pieczarkę i zdaje ci się, że masz przed sobą roślinę całkowitą. Złudzenie! To co widzisz jest tylko wyrostkiem, organem owocującym. Prawdziwy grzyb przebywa pod ziemią, gdzie rozpościera się w tysiącznych rozgałęzieniach. Z ciekawszych grzyba okazów, wymieniam tu truflę, o którą uporczywie przez długi czas spierali się uczeni. Jedni upatrywali w niej narośl pochodzącą z nakłucia niektórych drzew przez owady; drudzy utrzymywali, wprost przeciwnie, a mianowicie, że trufla jest grzybem, i tym potrzeba przyznać najzupełniejszą słuszność. Nie jestże to dziwnem, że te osobliwe rośliny tak długo opierały się analizie naukowej, ba, wszak dziś jeszcze niektóre ich gatunki zniewalają botanika do poprzestawania na hypotezach.

Grzyby to jestestwa skryte, nie wygłaszające nikomu tajemnicy swych rozrodów, rozwijające się z szybkością niesłychaną; gdyż w ciągu jednej nocy pewne ich gatunki dochodzą z wielkości orzecha laskowego do wymiaru kokosu.

Rodzina grzybów odznacza się wielką rozmaitością kształtów; niektóre jej gatunki łączą się z orzechami i pokrywają korę drzew przepysznemi kolorowemi płatami lub naokoło pnia tworzą silne szańce. Niekiedy stare dęby, podziurawione przez robactwo, zapełnione są od dołu do szczytu grzybami, których kapelusze blado-pomarańczowe, nadają im osobliwą, oryginalną postać.

Grzyby pleniące się na ziemi, przedstawiają najdziwaczniejsze postacie kul, pałek, czapek, puklerzy, a zabarwione są przeróżnie. Muchomór naprzykład przyodziewa się szkarłatnym kapeluszem, biało nakrapianym i osadzonym na koronie bieli śnieżystej. Niekiedy grzyby przybierają postacie osobliwie dziwaczne.

Często na długich, ostrych korzeniach *złoci* (Gagea Salisb.) porastają liczne kłębki wielkości orzecha i ciągle nabrzmiewając, dochodzą aż do wymiarów kapusty. Przez chropawą jej powłokę, przedziera się wkrótce kwiat brunatny zrazu zwinięty. Rozwiera się on następnie zwolna i ostatecznie rozwija w olbrzymi bukiet, którego grube, mięsiste płatki barwy czerwonawej, roznoszą w powietrze woń trupią, odrażającą.

Zobrazowałem może zbyt czarnemi farbami tę rodzinę, której gatunki jadowite źle uprzedzają o całej rzeszy; w każdym razie życie muchomora nie można nazwać cnotliwem. Wyrasta on w cieniu i wilgoci, znęca krasą na to tylko, aby popełnić morderstwo. Wszakże w pośród grzybów znachodzimy jestestwa nie mające nic występnego w obyczajach. Toż rydze, gąski, kokoszki i bedłki są wielce zdrowem dla nas pożywieniem, i nigdy nie zrządziły nikomu nic złego.

Rzymianie do tego stopnia smakowali w rydzach, że podawano je na srebrnych półmiskach, a krajano wyłącznie tylko nożami bursztynowemi. W ogóle o ile grzyby jadalne poważano w starożytności o tyle nienawidzono jadowitych, chociaż i z tych często użytkowano w zbrodniczych celach. Agrypina otruła Klaudyjusza bedłkami zaprawnemi muchomorem. Wśród roślin podobnie jak i między zwierzętami, istnieją gatunki pożyteczne i szkodliwe. Jedne spędzają życie w spokoju, pozostawiają po sobie pamięć czystą, nieskazitelną, inne znowu nietowarzyskie, nieprzystępne,

niekiedy do okrucieństwa srogie, niesłychanie drapieżne, poszukują ofiar aby się pastwić nad niemi. Do takich należą przed innemi pasożyty żądające niby pokorne żebraki pomocy, zasiłku, opieki od drzew i krzewów, a za one dobrodziejstwa wypłacające się im najczarniejszą niewdzięcznością. Żyją one bezecnie kosztem tkanki opiekuńczego drzewa, wysysają z niego soki i niszczą cały organizm. Te ich własności stanowią kartę obyczajową, na którą w pracy niniejszej zwracałem uwagę czytelnika. Analiza naukowa wykryła owych złoczyńców niebezpiecznych dla człowieka, a zarazem wskazała mu w jaki sposób może z nich użytkować. Odtąd też rośliny trucicielskie stały się zarazem lecznicze mi. Nie obwiniajmy więc bezwzględnie zdrożnych roślin, gdyż z nich genijusz człowieka czerpie niepospolite korzyści.

W. Niewiadomski.



Kościół Maryacki w Krakowie.

SZPARGAŁY RÓŻNOCZESNE.

Z teki zmarłej przyjaciółki

zebrała

Zofija z Brzozówki.

(ciąg dalszy)

Długo byłoby opisywać paniom, wszystkie szczegóły tej wzorowej posiadłości; dosyć będzie gdy powiem, że tu rolnictwo i przemysł podały sobie ręce. Była to wieś dziadowska i strasznie okruszona dostała się w ręce dzisiejszego dziedzica, on ją podparł od razu grubym wkładem żony i własną umiejętną pracą, i w lat kilkanaście zaczął już składać kapitały.

Przy herbacie pan Fryderyk odwiedził mnie w moim pokoju, i wyszliśmy razem na obejrzenie zakładów fabrycznych, nawet pięknego stada koni w pobliskim folwarku. Potem pokazał mi regestra gospodarskie i cały bilans rozchodu i przychodu, a ze wszystkiego widniał ład ogólnego planu i wykończenie szczegółów, chociaż gospodarz nazywał to przez skromność, wstępem do porządku.

Po obiedzie, pani domu bawiła nas muzyką, i sama jak się dowiedziałem kierowała wychowaniem dzieci i wyborem nauczyciela. P. Fryderyk wziął na siebie troskę o byt materyjalny, moralny i umysłowy los pokolenia zostawiając żonie.

Po nader uprzejmych nadal zaprosinach przez oboje pp. Hedekranców, przyszło do pożegnania. Wychodzimy na ganek ale nie ma moich koni, jednak stoi kabryjolet i dwa śliczne wierzchowce, żując spienione wędzidła. P. Fryderyk by nie utrudzić mego siwego rekonwalescenta, wyprawił go do mego krewnego, a mnie samego swemi końmi doń odstawił.

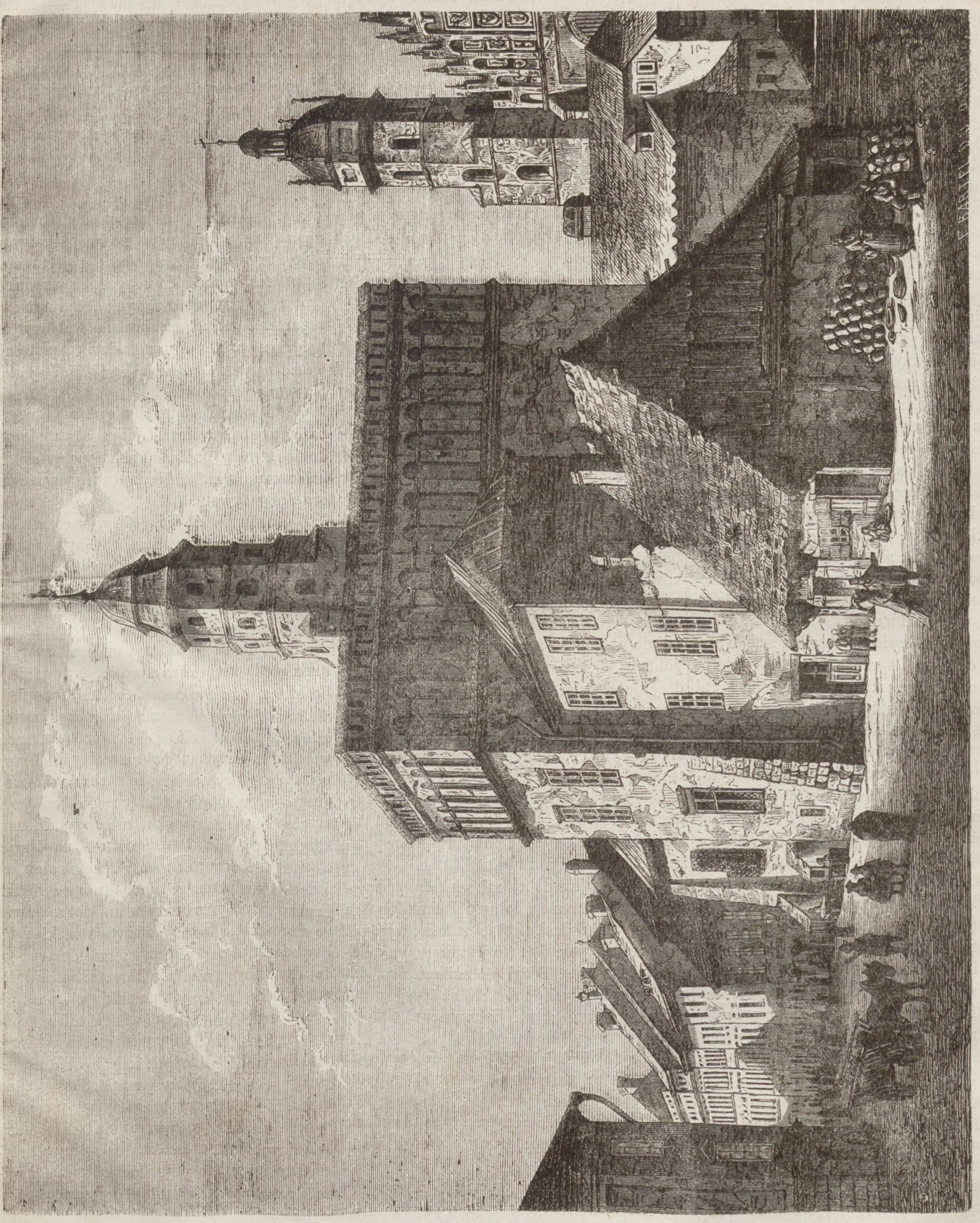
— A to zacne co się nazywa człeczysko! wykrzyknął pan Jacenty.

— Wielu tak twierdzi, przytaczając na dowód że uczynny: chętnie potrzebnemu małą sumkę bez procentu pożyczy. W domu chętnie zawsze przyjmie i poczciwie doradzi, bo *głowacz* nielada mospanie. Na kompromis najchętniej zawsze zjedzie, a jak napisze dokumencik, to go i stu dyjabłów nie zgryzie. Ma *wielkie plecy* przez żonę, i nie jednego niemi podpiera.

— A toż go kanonizować za życia, powiedziała pani Jacentowa.

— Niewiadomo czy się kościół na to zgodzi, bo któż jest bez grzechu?

— Jako człowiek mieć je musi p. Fryderyk. za szynkowanie niby majątkami; za to że kupiony majątek zniszczywszy z kretesem, to jest wyzyskawszy zeń wszystkie źródła dochodu, za pół ceny puszcza go między ludzi? Mam dwie chudoby w mojem sąsiedztwie, co tak zbawiennie wyszły z jego ręki. Były tam świerkowe bory, dziś są wydmy piasczyste; aleć powietrze oczyszcza się przez piasek i nikt tam w czasie cholery nie umarł. Zresztą, czyż majątek nie jest własnością, którą używać wolno dla osobistych tylko korzyści, bez żadnych względów na obowiązki społeczne i tradycyjne? Niech co chce będzie, bylem ja, mój majątek i rodzina moja stały jak się należy. Po nas niechaj potop nawet przyjdzie. Cóż, czy zgoda na to?..



Ratusz na Kazimierzu w Krakowie.

Złe języki obwiniają go np. że małe sumki, na krótkie termina, bez procentu pożycza, ale podupadłym daje wielkie kwoty na dłuższy termin, a potem za kapitał i doliczone procenty majątki im zabiera?! Alboż i to nie przesada jeszcze większa, że krzyczą nań

— Niech Bóg zachowa i broni, wykrzyknięto chórem.

— A więc co się stanie z owym aktem kanonizacyjnym?

Zostawiwszy słuchaczom moim czas na bliższą co do p. Fryderyka naradę, powitałem

się tymczasem z moim krewnym, Faustynem, mężczyzną dobrej tuszy.

Nie widziałem go od kawalarskich czasów; dobry to był chłop kiedyś, a dla książki wyniósł też pewien szacunek ze szkoły. Na nieszczęście tylko urodził się podczas mgły wielkiej i ta mu rozwodniła ducha. Więc kochany Facio nie miał ni smaku, ni koloru, ni kształtu; ale brał je od naczynia w które się wlewał: długim był w butelce, w talerzu płaskim. Po wyjściu ze szkół, mieszkając przy ciotce, polubił rysunek i pacierze; z kolei został bigotem i chciał wstąpić do kartuzów. Potem, marsowe popędy o mało go nie wcisnęły do wojskowego munduru; później, wytworzył się na libertyna i salonowca, poderwał fortunę i ożenił się z posagiem, a za posag wziął gąskę w sukni; kupił wioskę w sąsiedztwie p. Fryderyka i stał się jego sobowtórem. Jak każda kopija nie dościga oryginału, tak też i Facio w mniejszą zawarł się skorupę i nie miał jej czem tak suto ozłocić. Nie mając ani nauki ani sprytu pierwowzoru, nie odważał się sięgnąć po cudze: lecz za to swoje oburącz trzymał i prędzejby się pozwolił położyć żywcem do trumny z banknotami, niż za część ich choćby nie wielką, bliźniego z biedy wykupić. Co mu samo wpadło cudzego do ręki, tego umiał już nie wypuścić, to też nie puścił posagu żony i jej siostry, nie puścił części małoletniego brata, nie przyznał nie obwarowanych prawem długów ojcowskich i t. p. Facio miał rozum *myszy gospodarskiej*, i jak mysz gotówby był gdy kota nie czuł, na stół cudzy po grzaneczkę wskoczyć, ale kocich pazurów lękał się strasznie, bo nie miał własnych z natury.

W stosunkach sąsiedzkich, pan Faustyn bardzo był oględny i sprawiedliwy; żeby zaś uczynnością nie grzeszyć, wiecznie biedował na złe czasy, pożyczał dla ludzkiego oka pieniędzy, i te najrzetelniej oddawał na dni parę przed terminem. Grywał w taniego preferansa, przegranę płacił akuratnie, wygranę kredytował choćby jak najdłużej. W obec taktyki takiej miał opiniję porządnego człowieka tem łatwiej, że ani świątlejszą myślą, ani książką ani czystością obyczaju, nikomu nie był solą w oku, a żonę trzymał w ryzie i nie pozwalał by sąsiedzką przyjaźń naruszać niewłaściwemi fochami. Żona gąska, lubiała przy pacierzach gęgać ploteczki, ale obawa męża, nie dawała im rozrostu; więc utrzymywano: że pani Faustynowa to dobra i pobożna niewiasta, że o nikim źle nie powie, ma bonę Francuzkę, skromne i grzeczne dzieciaki a ubogiego nigdy z kwitkiem od progów swoich nie odprawi.

Nie mając Mojżeszowej laski aby zdrój ze skały wykrzesać, pożegnałem p. Facia i ruszyłem dalej; może go jeszcze kiedyś spotkamy, ale proszę o cierpliwość.

O dwie mile od p. Faustyna, pękła mi śruba jakaś w powozie, i wypadek trafił się szczęśliwie, bo jak raz o kilkadziesiąt kroków był: — „Kowal pijak i gospoda.“

Szynkarzem był tu dawny lokaj pana Faustyna, który go po długich wiernych służbach w skutku choroby wydalił, uposażywszy w stary surdut i zapewniwszy byt przyszły na hypotece ludzkiego miłosierdzia.

Feliks Gajdelis przez lat parę ściągnął z tej hypoteki kilkaset rubli, wykarmił kilka podświniaków za żebraczym wózkiem uwiązanych, spieniężył je wraz ze zbożem, lnem, płótnem i odzieżą, co je litościwe ręce do ubogiej budki nakładły; a potem wziął karczmę na wielkim trakcie, wysadziwszy z niej poprzednika podstępem przed terminem. Osiadł, uporządkował się; zagospodarzył i zawiązał ścisłą przyjaźń z niedalekim sąsiadem w puszczy, co po nocach handlował końmi, bacząc zawsze który *jakiego wiatru się lęka*; czyli skąd pogoń za nim przyjść może.

Obaj przyjaciele nie byli bogaci, ale zgoda z małych rzeczy wielkie wytwarza.

Zaledwo wszedłem do izby, stanął przedemną chudy, blady, zezowaty gospodarz w wytartej kapocinie, z ceratową czapczyną na głowie, i spytał rezolutnie: — Co J. W. pan rozkaże?

Trzeba przyznać że to czegom zażądał podano mi i prędko i dobrze. Kowala, iżby się nie upił przed końcem roboty, dopilnował sam pam Feliks, a nawet ogólny rachunek nie wypadł mi zbyt słono.

W parę lat wypadło mi jechać znowu tamtędy i znów pan Feliks spotkał mnie w tej samej kapocie starannie połatanej. Był już żonaty z ex-szatną pani Hedekrancowej, kobietką lat dziewiętnastu i wcale ładną, do której należało przygotowywanie trunków i jadła, wypiek pierników toruńskich i obwarzaneczków, a przedewszystkiem kaptowanie gości, i załatwianie tych wszystkich interesów i interesików, których gdy dyjabeł nie może, babie powierza je zwykle.

Pan Feliks ze swoim przyjacielem Pamfilem, szli do wspólnego zarobku, rządząc się wilczą polityką, to jest w około gniazda szkody żadnej nie czyniąc. Nareszcie, dopatrzyli opuszczony cmentarz w odludnem miejscu, i zrabowawszy umarłych, zaprzestali jawnie okradać żywych. Jeli się potem handlowego szachrajstwa, kupcząc lnem i zbożem coraz na szersze rozmiary. Oba mają węch dobry, skądkolwiek wiatr zawieje umieją go pod żagle rozwagi uchwycić, i nowym pędem pomknąć łódź swego przemysłu.

Pan Feliks jest dobry człowiek, bo podwójnie płaci za karczmę; dobry i Pamfil, bo, za półtorej włóki piasku i błota w lesie, wypłaca po tysiąc złotych; do tego jest zręcznym cieślą i konowałem. Bodaj ci najlepsi, co dla swej wygody, tych dobrych na swej ziemi trzymają; bez nich, owi dobrzy czyż istnieć by mogli?

— Czyżby i ci, jak ich zowiecie, najlepsi, grali do jednej puli z temi dobremi, zapytał pan Prot w tem miejscu...

— Jako żywo! nie posądzam, bo nie znam, lecz faktycznie są oni gruntem bez którego złe by nie rosło.

— To fakt, rzekł pan Senadworski.

— Nie rozumiem tego, zarzucił pan Jacenty. Możnaby tych obszargańców nie cierpieć na swej ziemi, ale cóż począć z temi co na swojej siedzą własnej?...

— Oniby sami zemknęli lub się przerodzili, gdyby ich nie upoważniono być takiemi jakiemi są, przyjęciem do towarzystwa, i udzielaniem tych względów jakie się należą istotnej wartości moralnej. Nawet żaden z nich takim by się nie wyhodował, gdyby ich zło nie miało pokarmu wpośród tych z których wyrośli. Patrzcie na rośliny i zwierzęta z obcej strefy: albo się aklimatyzują albo giną; a to dla tego: że natura nie toleruje nikogo kto praw jej nie pełni. Chcąc w niej żyć, trzeba przyjąć jej warunki lub nie żyć. — Czemu w waszej stajni nie mógł wyżyć wielbłąd, mimo waszę troskliwość, czemu na waszej grzędzie ryż nie wyrasta, mimo staranność waszę? — bo społeczność sił przyrody, nie zmieniła żadnego ze swych praw, ani złagodziła zimy, jak to czynią ludzie przez grzeczność, lenistwo myśli, pozorną korzyść, lub bojaźń chwilowej straty.

Jestto fałszywy kierunek naszej dobrej wiary, omszałej w zadomowieniu zacieśnionego życia, w braku powszechnej normy podług której wyrabia się jasne pojęcie zła i dobra, zastosowane do wszystkich warunków osobistego i zbiorowego życia. Stąd mrok wyobrażeń, a pod ich cieniem nie widzimy wewnętrznej wartości przedmiotów, przestając na ich barwie. *Wieczorem wszystkie koty szare*, jak mówi przysłowie.

Gdy mrok zapadnie, gdy gwiazdy zagasną na horyzoncie życiowej doby, błądzenie jest koniecznym wypadkiem, nim nauczą się ludzie nowem światłem ducha rozpromieniać dalszą drogę żywota.

Z początku, człowiek nie wie co ma począć: jeden znużony zaśnie, choćby na mrowisku; inny zemdlony utonie w kałuży; inny, za cmentarnym ognikiem, trafi na mogiłę i padnie pod krzyżem; inny, z kobiecym niepokojem i przeczuciem czystego serca, modli się ze łzami, duszę wypłacze i umiera na miejscu z głodu uczucia w samocie. Inny sunie się omackiem z instynktem dziecinnej trwogi, by nie szwankować na nieznanej drodze, innemu, *orlem skrzydłem wilk macha* i przestraszonego wpędza do jamy, innego jeszcze zły duch, to w postaci pięknej kobiety, to w szacie złotorodnego przemysłowca, zręcznego bez wyższych celów pracownika, albo wytuczonego karyjerą próżniaka, wyprowadzi na lśniące elizeum sztucznego światła i pachnącego zepsucia, by zdurzonego ducha udusić różami. Innemu stanie przed oczy mara dobrodusznego starowiny, i świecąc znanym stoczkiem lub gospodarską latarką, przywiedzie do dawnego dworku, tam go zamknie kłopotarką, chwalbą starych czasów, zrzędą na dzisiejsze, a na pociechę rzuci preferansa, winko, czasem piękne oczy, zamorskie bony i guwernery, i wymizdrzonym dziatkom, na lisim ogonie, uśmiechnięte widmo karyjery postawi. Inny prądem ducha, rozświeconego bożą myślą, rzuca się ku wyjściu którego rzesze nie widzą, idzie śmiało wołając te rzesze za sobą. Ten nie słyszy, ten słyszeć nie chce, inni ciskają kamienie, poco przeszkadza błogiej drzemce po obiedzie?...

Zwykły to widok w dziejach ludzkości. Nim chaotyczność przejściowej chwili nie ustąpi przed promieniem nowych pojęć zarania, póty wszelki postęp wolnym kroczy pochodem, a ludzie w dziecinnej nieśmiałości, wolą wróbla w ręku niźli gęś na dachu.

Nasz sąsiad, pan Kazimierz, oddawał do

szkół zdolnego chłopaka z ludu. Już kończył gimnazyjum, po wakacyjach miano go wyprawić na uniwersytet. Wypadły święta, utęskniona matka wiezie mu koszyk serów, pierogów i wędliny. Trafia w dzień postny i znajduje syna nad talerzem mięsa. Wnet go pakuje do wozu i co prędzej na wieś. Wiele potrzeba było pracy i usiłowań dziedzica i wpływowej perswazyi plebana, nim się poczciwa kobiecina zgodziła na dalszą edukacyję syna. Syn musiał w obec matki przysięgę wykonać, że nie tknie w post mięsa i wszystkie religijne obrządki, najściślej w przyszłości zachowa.

Gdy pomyślimy, że więcej jest ludzi co post łamiąc, przez ten wyłom wyślizgają z kolei i inne, czasem wszystkie prawa religijne i moralne, niż tych co wiecznie poszczą żyjąc umiarkowanie, zakłopotana w sumieniu wieśniaczka nie tylko będzie poczciwą ale i rozumnego instynktu kobietą. Tak się rzecz ma u nas ze wszelkim postępem i w rolnictwie, i w handlu i w przemyśle. Każdy z nas na tej drodze widzi niejednego to w siermiędze, to w domorosłym surducie, to w paryskim fraku; piechotą lub w karecie, niechże powie Bogiem a prawdą, wielu spotkał *Tyzenhauzów Antonich, Brzostowskich, Steinkelerów?* Między skąpcami znalżejakiego *Staszica* lub braci *Załuskich*; na mniejszą czy większą skalę? Zwykle to ludzie kamiennego serca, drętwej duszy, ciasnego choć rzutkiego umysłu, coby za własną duszę żałowali grosza dla znalazcy.

— Może z przekonania że znalezione grosza nie warto? przerwała żona mężowi.

— Bacząc na to łatwo zrozumieć, że zaliczanie ospałości myśli do liczby dzisiejszych wad naszych, nie da się dowieść przy wszechstronnem obejrzeniu przedmiotu. Nie jest do zalecenia talmudyczna nieruchomość; ale i ta lepsza od owej nauki danej na posługę faryzeuszowej cnocie:

„Kto nie jest astronomem, niechaj ziemię mierzy,
Kto nie jest teologiem, niechaj ślepo wierzy.“

Cały zarzut kulawego postępu i zrażania do postępu ciąży na tych, którzy ani brakiem pewnego stopnia wiedzy, ani brakiem środków usprawiedliwić nie mogą, że najpiękniejsze dary boże filtrują na ambrozyją egoistycznego smaku, choćby jej męty były trucizną dla wszystkich.

Wolimy, z ową wieśniaczką, aby syn nasz był po staroświecku pobożnym prostaczkiem, niż po dzisiejszemu, wziął konsens od fałszywej nauki na wyszynk moralności i sumienia.

To też i ogół czując instynktem swą niedojrzałość do umiejętnego połączenia moralności z rachunkiem, woli rzeźwą starość niż młodość kaleką.

— Mam turczynka, rzekł p. Jacenty, co to się zawsze cofał przed rowem, czując że go nie przesadzi — mam syna, co to lękał się wody nim mu się płuca rozrosły, teraz rzuca się z lubością w głębie przepaścistej fali—wstydziłbym się niżej stanąć i od dziecka i od konia! Zachować moralność w rachunku jest tylko prostym obowiązkiem, przetopić ją na kruszec, to doprawdy rzecz godna tylko tego który nie rozumie codziennej modlitwy: *Nie wódź nas na pokuszenie!*

— Popieracie to życiem co mówicie. Nauczyliście się tego czego wasz ojciec nie umiał; pracą i rachunkiem dobijacie się fortuny czego on nie potrafił, a równie gorąco kochacie jego zasady, bez których Bóg człowieka odrzuca a dyjabeł się zeń śmieje.

Gdy tak się toczy rozmowa, usłyszano dzwonek i nowy gość wszedł do pokoju. Podano wcześniej po przywitaniu się wieczerzę i udano się na spoczynek.

XIII.

„Nie patrzmy w nasze wady oślep i przez szpary,
Lecz karćmy bez ogródki winy i przywary.“

Nazajutrz nowy gość wyjechał po rannym obiedzie, a wczorajsze gronko przyjaciół zasiadło znowu do wspólnej pogawędki. Prosiłyśmy pana Józefa aby nas od komina do komina dalej z sobą prowadził. Postawiłyśmy przed nim spory koszyk z gruszkami, cygara i herbatę, wpadł więc w dobry humor i tak mówić zaczął:

— Koło południa zajechałem do znajomego mi kiedyś nowożeńca. Okienice zamknięte świadczyły że państwo albo chorują, albo zasypiają jeszcze. Wchodzę do sieni, spotykam pana domu w szlafroku; oczy kleją mu się jeszcze, ale rad z mego przybycia; zaprasza do pokoju, zaraz tu, dodał, żona moja przyjdzie ci się przedstawić a śliczna kobieta i rozkochana we mnie. Tylko daruj łaskawy panie że u nas wszystko jeszcze w nieporządku, niezadługo wystawimy pałacyk, meble z Rygi sprowadzimy i urządzimy się jak należy, bo w tych staroświeckich izbach niepodobna gości przyjmować.

Potem rozwijał szerokie plany zdobycia fortuny, przy pomocy reformy gospodarskiej i rozwinięciu przemysłu na sposób angielski. Połowę lasu wytnie i przerobi go na gospodarskie narzędzia do sprzedania. Osadzi u siebie doktora, cyrulika i weterynarza na stałej pensyi, z warunkiem aby cała ich praktyka szła na dochód dziedzica. W każdej karczmie osadzi dwu muzykantów, aby do nich co najwięcej ludu przywabiać, a nadto miał zamiar brać na się lub nabywać, zawikłane procesa. Takiemi projektami raczył mnie bawić uprzejmy gospodarz, któremu Mars niedopisał: po krótkiej bowiem służbie wyszedł do dymisyi skaleczony od podkowy, gdy podochocony spadł z konia na mustrze. Pan Modest był artystą, śpiewał barytonem przy hiszpańskiej gitarze, altem przy fortepijanie, wygwizdywał wszystko co posłyszał i grał na skrzypcach własnego utworu waryjacyje.

W parę godzin pokazała się sama pani Palmira, wystrojona jak na bal jaki, ale pomimo to przepraszająca po tysiąckrotnie, za negliż i dom nieurządzony.—Bo widzi pan dobrodziej, mówiła, tu na lewo będzie mój buduar, na prawo czytelnia, tam gabinet męża i pokoje dla panien służących. Teraz jesteśmy jak na popasie, ledwo zaczynamy się do porządkowania zabierać. Z kolei oprowadzali mnie oboje po dziedzińcu chwastami zarosłym, pokazując gdzie będą kląby a gdzie ogród angielski.—Te lipy, mówiła pani wskazując na odwieczne piękne rozłożyste drzewa, każę powycinać bo zasłaniają widok, na miejscu tych starych grusz wzniosę chińską altanę. Tu wystawię angielską ptaszarnię i będą w niej gruchać czułe synogarlice i najosobliwsze ptaszki.

— Ależ to koszt ogromny, szanowna pani....

— Naturalnie że to kosztować będzie, odrzekł p. Modest, ale mamy ludzi jak mrówek, jest więc komu pracować.

Niespodziewali się żem wiedział iż tych mrówek wcale jest niewiele, że majątki ich nie dla salonów, buduarów, gabinetów, i t. d.

Ledwo po piątej podano obiad, pretensyjonalny ale niesmaczny—i znów oboje przepraszali mnie że kucharz chory, że lokaje poposyłani z listami. Dziewczyna pół miejska, pół wiejska usługiwała do stołu, a chcąc widocznie ton jej nadać, pani ubrała ją w suknię brązową z frendzlami, które maczała ciągle w półmisku biedna niezgrabna Agatka, „kamerdyner“ jak ją tu przy mnie nazywano. Na stoliku leżało kilka książek rozrzuconych: *Pamiętniki dyjabła* w tłómaczeniu i z pół kopy oryginalnych romansów francuskich.

Po obiedzie, po powtórnych przeprosinach, za chorego kucharza i przypadkową nieobecność służby, poszliśmy na przechadzkę. Młode małżeństwo paplało bezustannie o przyszłych planach, o swych pokrewieństwach, przyjaźniach i stosunkach z dostojnikami wszelkiego kalibru.

Tegoż dnia wypadły dożynki i jak p. Modest mówił, przygotowano sutą dla całej włości ucztę. Jakoż wieczorem przyszły z wiankiem trzy brudne, bose, zaszargane kobiety i kulawa jakaś baba włożyła wieniec pani na głowę, która z całą dumą dziedziczki powiodła po nas zadowolonem okiem. P. Modest pośpieszył mnie uprzedzić, że to tylko deputacyja od włości, powierzona płci pięknej, gdyż podchmieleni mężczyzni nie śmią stawić się w takim stanie.

O północy podano herbatę wyrzekając że sześciorublowa, umyślnie z Moskwy sprowadzona, a jednak nie taka jeszcze do jakiej przywykli, a nareszcie p. Modest odprowadził mnie do salonu, gdzie jak powiadał przygotowano mi łóżko i wydelegowano do pomocy przy rozbieraniu lokaja. Tym lokajem był jakiś wiejski chłopczyna co nie wiedząc co z sobą począć, stał dziko o mur oparty, i ze zdumieniem przypatrywał się garderobie w którą go przystrojono. Mały, chudy, w długim obszernym surducie z zawiniętemi rękawami, w wielkich wykrzywionych butach, stąpał w nich krokiem ochwaconego konia i podtrzymywał by nie spadły; na szyi zamiast chustki, miał kawał starej krepy, doraźnie z kapani Palmiry zakręcony; a zamiast kamizelki, brudny jakiś damski kaftanik. Jurek! rozbieraj pana! zawołał p. Modest, a gdy chłopiec ani się z miejsca poruszył, pchnął go naprzód i pogroził surowo. Rozbeczał się Jurek na głos cały ze strachu, a jam się odezwał że sam się zwykle rozbieram i ubieram—i żadnej nie chcę pomocy.

Po całej tej parafijańskiej komedyi, rad byłem usnąć, ale gdzietam; coś mnie niepokoi i kąsa, chciałem zrzucić kołdrę, i tego zrobić niepodobna—bo ręce i nogi zaplątały mi się w odprutą podszewkę i ani się z tej matni wywinąć.... Zerwałem się nareszcie z łóżka i cichaczem ruszyłem dalej.

— Znam tę szanowną parę, rzekł p. Grot-

Pani Palmira to nawet córka zacnego ojca. Był to podżyły wdowiec na zamożnej fortunie, dał nierozważne *verbum nobile* pannie apteczkowej, i jako stary szlachcic, dotrzymał jej na kobiercu. Wkrótce zesmutniał i zasmucił się na śmierć. Wdówka choć ciepła, nieznalazła powtórnego amatora do swej ręki, do córki sprowadziła najpierw guwernantkę z Rygi, a potem oddała Palmirkę do jakiegoś pensyjonatu w Kurlandyi. Po pierwszych wakacyjach panienka niepowróciła już do szkoły, bo głowa ją bolała od siedzenia, a przytem dosyć się już nauczyła.

Pan Modest jedynak, sierota na małej fortunce z wielkiemi długami, wzięty był na opiekę młodej cioci i starej babuni. Obie kobiety pieściły go na wyścigi; oddawały do najdrożej płatnych zakładów, a ponieważ był pięknym i zręcznym chłopięciem, obie wierzyły że najwyższej dostąpi karyjery. Tymczasem młoda ciocia, od lodów po tańcu dostała zapalenia płuc, i umarła a stara babcia wkrótce za nią pośpieszyła. Cały fundusz co był w gotowiźnie na wieki gdzieś zginął, a mały folwarczek nie wystarczał na paniczowskie zachcianki. Pan Modest poszedł na rycerza, ale po niefortunnym jakimś wypadku powrócił pod starą strzechę, z nowym zamiarem zmienienia jej na pałac koniecznie. Spieniężył co się dało, ogrywał w faroana podpojonych młodzików, oporządził się przyzwoicie i ruszył polować na posażne panienki. Po licznych rekuzach trafił na pannę Palmirę, i podobał się jako bardzo salonowy młodzieniec. Nie tracąc czasu, miłość karyjery łączy czułą parę. On był pewny że dostanie najmniej pół milijona, a znalazł sto tysięcy — ona także w rachubie dóbr mężowskich przeliczyła się bardzo.

Zamiast fałszywych nadziei, przyszły swary i kłótnie, a zgoda była w rezerwie, gdy chodziło o oszwabienie kogo trzeciego. Urzędowa potrzeba zapędziła mnie raz w te strony, musiałem u nich nocować; a jako mieszkańca dalszej okolicy, chciano olśnić dostatkiem, bo starali się od mego stryja pożyczyć pieniędzy.

— Zwykły to skutek wychowania córek przez ciemne z pretensyjami matki, zwykła kolej benijaminków, wychowanych przez ciocie i babunie, rzekła pani Senadworska.

— Ale powiedz panie Józefie, gdzieżeś popadł od pp. Modestów?

— Trafiłem na imieniny pana sędziego Jeremijasza Chleba.

Dom wielki, gości *multum* z bliska i z daleka, w karetach, koczach, natyczankach i jednokonnych dryndulkach. Bawiono się i nudzono najszczerzej, bo uprzejmy gospodarz rad był każdemu, zostawiając wszystkim najzupełniejszą swobodę. Gość tutaj, mógł wnet po przywitaniu kazać sobie słać łóżko lub podać zrazy czy butelkę węgrzyna i bawić choćby rok cały, wyjazd tylko był trudny i zawsze smucił pana Jeremijasza. d. c. n.



Psy spiące.

Korespondencyje Opiekuna Domowego.

Z Sandomierskiego w Listopadzie.

Mówcie co chcecie, ale warunki wasze są za ciężkie! Żądacie w korespondencyi jak najwięcej faktów, szczegółów obchodzących ogół, wybitnych śladów rozwoju miejscowego życia, jednem słowem analityczną drogą otrzymanego obrazu danej miejscowości i czasu. Śliczne to zasady, kładę więc je na wstępie mojego listu, przyznając im słuszność najzupełniejszą, lecz prosząc zarazem o pobłażanie dla mej niemożności zadość uczynienia. Skądże bo wam wezmę tych pięknych rzeczy, których wymagacie od korespondenta? Wołacie faktów! i ja wołam ich, oglądam się bacznie, naprożno szukam wśród jednostajnego szmeru przytłumionego życia, tych odgłosów co jak rzeźwy dźwięk dzwonu, poruszyłyby otuchą serce czytelnika.

Warunki wasze są za ciężkie, powtarzam, pogląd mój z konieczności musi się nurzać w ogólnikach. Aby w nich nie zatonąć, starać się będę tylko o ile możności doścignąć wasz ideał korespondencyi, gdy go w zupełności osiągnąć nie mogę.

Sandomierskie strony! One mają dla nas jakiś urok szczególny. Wspomnienie o nich przywodzi wam na pamięć żyzną pszeniczną glebę, kraj ludny, wesoły, pełen urozmaiconych widoków, pełen pamiątek przeszłości, zresztą serdeczne nasze hasło sandomierskie „kochajmy się.“ Z tych stron czytelnik spodziewać się może tylko dobrych i pocieszających wieści. Toż to niby gniazdo szlachetczyzny.

Tym smutniej mi właśnie przyjmować na siebie misyją rozczarowywania ogółu nieznającego bliżej naszych stosunków. Pochwalnego dytyrambu na żaden sposób śpiewać nie mogę, bo pod każdym nieledwie względem stoimy niżej normy warunków, w jakich się znajdujemy, i społeczeństwo ma prawo więcej wymagać nad to co tu znaleść można.

Jak na złość, nawet ziemia tutejsza uwzięła się okazać w tym roku debet rażący. Wyjątkowy to rok nieurodzaju! Zboża chybiły, paszy brak, a na dobitkę brak popytu na produkta rolne. Rok mijający zachwieje niejedną nadwątloną majętność. Czyliż i tu w smutnych barwach przedstawia się walka o byt większych posiadłości ziemskich, zapytasz może czytelniku, mając na pamięci naszę złotą *sandomierkę*.

Pociechu i ze wstydem potwierdzić ci muszę, k'woli sumienności sprawozdawczej. Korzyści dobrej gleby nie przeważyły tu w stosunkach ekonomicznych. Nie jest może tak źle, jak w Radomskiem np., ale, ale pokazuje się, że sama ziemia niewiele znaczy. Ludzie tu na palcach liczą obywateli, stojących na mocnej podstawie, a ogół powtarza też same narzekania co wszędzie, utyskiwania znane jak słowa codziennego pacierza. Gdy się ich słucha, to i gorzko i ckliwo, i wątpliwość dręczy człowieka: czy tu warunki bytu i czasy winny — czy ludzie? Czy po zmianie ekonomicznych warunków należącej już do historyi, nie można było przecież raz zastosować groblę do stawu?

Proszę tych słów nie brać za aluzyję do życia nad stan. Objaw taki nie bije tu w oczy przynajmniej nikt tego *o sobie* nie powie.

Wy, którzy pamiętacie, jak tu się niegdyś umiano bawić wybornie, jak tu czczono gościnną hojność, jak tu się żyło bujnie, bez troski o jutro, zapomnijcie o tych *dobrych* czasach. Dziś żyjemy oszczędnie. Czy produkcyjnie? to inne pytanie. Czy nabraliśmy przed siębierczości i czynnej energii życiowej, czymamy jasne pojęcie położenia, czy łączy nas spójnia w działaniu ku rozumnie pojętym celom; spójnia, co nas niegdyś łączyła bratnim uściskiem... przy kieliszku węgrzyna? Wszystko to są pytania bardzo upokarzające.

Zmiana w trybie życia zaszła wymuszona koniecznością, żywioł towarzyski osłabł, odosobniliśmy się i każdy klepie biedę po swojemu, o duch biedzi się pod naciskiem codziennych kłopotów, lecz nie może wznieść się do zapanowania nad położeniem obecnem. Opinija ogólna nie wychodzi po za obręb bezradnych narzekań, sprawy dobra powszechnego są niezrozumiałe dla nas po dawnemu i wstyd wyznać, nie poruszają umysłów! Nieruchome *in statu quo* trwa bez końca, a fala czasów porusza się tu tak leniwo—tak leniwo...

Ale dość już tych wyrzutów. Dla złagodzenia tych smutnych odpowiedzi na nasze żywotne pytania, wspomnijmy, iż Sandomierskie równie jak i Radomskie całe jest zakątem nielada. Znacie Radom odrętwiały, zaspany, obumarły? toż to przedstawiciel stron tutejszych. Spytajcie żydów o stosunki tutejsze, oni z uśmiechem politowania powiedzą wam, że nawet ich współwyznawcy tutejsi, nietylko najbardziej są zacofani, ale i najmniej ruchliwi.

Powiedzą wam, że żaden większy kapitalista nie eksploatuje tam stosunków handlowych. Jeśli to wszystko potwierdzą żydkowie (oni przecież o wszystkiem najlepiej wiedzą), to uważcie sobie, że przecie od nas nie można wymagać abyśmy byli od nich lepsi, t. j. bardziej czynni i przedsiębierczy. Źródła ogólnego zastoju, po części szukać trzeba w braku dobrych komunikacyj, w braku bliskiego punktu, gdzieby się ogniskował ruch. Okolica tutejsza nieporuszana żadnym zewnętrznym prądem, niezdolna własnego wytworzyć, trwa w ociężałym spoczynku pomimo dobrych warunków gleby i gęstego zaludnienia.

Dobrobyt ogólny, a więc byt ludu wiejskiego podniósł się wprawdzie w latach ostatnich; to fakt, lecz dodajmy zaraz fakt, bez następstw dalszych w ekonomicznych stosunkach okolicy. Produkcyja nie podniosła się przeto, ani oświata, ani umoralnienie, a tak zwane stosunki włościańskie nie przedstawiają korzystniejszego widoku.

Dopóki nie nastąpi jakieś przesilenie w stagnacyjnym stanie ogółu większych posiadaczy ziemskich, dopóty zmian pocieszających w życiu naszej okolicy spodziewać się nie można.

Mamy tu na myśli nietylko stan ich majątkowej bezwładności, lecz i całe zachowanie się w obec wymagań czasów obecnych, w obec potrzeb tak osobistych jak społecznych.

Znów mimowoli zwracam się do klasy większych posiadaczy ziemskich. Snać, sądzono mi nimi wyłącznie zająć moje sprawozdanie. Cóż chcecie, będęż opisywał, jak po naszych lichych mieścinach *inteligencyja* męska drzemie nad obowiązkowemi zajęciami, jak *inteligencyja* żeńska stroi się i ploteczki snuje, jak faktorzy obskakują podróżnego i t. p.? W naszych stronach zresztą żywioł wiejsko-obywatelski szczególną na siebie zwraca uwagę. Nie należy myśleć jednak, że tylko ujemnemi stronami których już dotknęliśmy. Są w nim strony piękne, zacne, szlachetne zabytki tradycyjnej jednolitości obywatelstwa. Proszę popatrzyć jak tu sąsiedzi bliżsi i dalsi spieszą z cichą pomocą dotkniętemu nieszczęściem współobywatelowi. Wieleby można przytoczyć przykładów na dowód, że poczuwanie się do obowiązków społecznych nie zamarło wśród nas. Tylko, jakaż to szkoda, że poczucie to nie objawia się w szerszym zakresie, w sferze donioślejszych spraw społecznych; że te piękne uczucia, które jako obowiązek sumienia nakazują nam ponosić nieraz znaczne ofiary dla jednostek, ofiary częstokroć idące na marne—nie uwydatniają się w działaniu dla dobra ogólnego, a nawet stają się przeszkodą w tym względzie.

Tak jest, przeszkodą uboczną wprawdzie, niemniej jednak silną. Był tu np. kiedyś dom handlowy obywatelski i upadł. Dlaczego? Bardzo prosta przyczyna; przecież obywatel nie może egzekwować obywatela, odmawiać mu kredytu, odmawiać przedłużenia terminu! Gdzież uczynność! gdzież obowiązki sąsiedzkie! wołał każdy interesant, gdy doń przemówiono twardym językiem rachuby. Dodajmy do tego brak punktualności, przywyknienie do pantoflowo-żydowskiego handlu, mały jakiś procencik złej wiary, a pojmiemy dla czego upadł dom rokujący tak pięknenadzieje. Podobny los spotkał związkowy skład przedmiotów potrzebnych w rolnictwie — podobny los spotka każdą spółkową operacyją finansową opartą na obywatelskim żywiole — dodają ludzie zniechęceni niefortunnemi próbami. A tymczasem handel zostaje na łasce drobnych przekupniów niedołężnych i czeka aż się nań rzucą przebieglejsi wyzyskiwacze-pośrednicy. Rolnictwo i przemysł rolny, nie mogą się rozwinąć dla braku kapitałów, majętności przeciążone pożyczką towarzystwa kredytowego upadają lub ratują się a raczej dożynają lichwiarskiemi zasiłkami i wyglądamy... chyba „miłościwego lata.“

Czemże są w obec takiego położenia jednostkowe wysiłki i pomoce, jeśli nie kroplą w morzu? Czemuż uczynność nawet nasza i najpiękniejsza strona charakteru na szkodę się nam obraca, zamiast być podwaliną społecznego dobra?

Zbyt kontemplacyjni jesteśmy, zamało wiary w swe siły, zamało hartu duszy mamy jeszcze podobno, a dobre chęci nasze ulatują z wiatrem. Kiedyż będzie inaczej!

Spostrzegam, że gorzki potok słów w tej bolesnej treści przelewa się już za brzegi mojej korespondencyi, aby więc jej nie rozszerzać nadmiernie, pokrótce dotknę innych stron miejscowego życia. A więc: oświata, szkółki wiejskie przepełnione, dzieci natłok w szkole przez zimowe miesiące, przez lato zapominają czego się nauczyły. Lud w większości nosi książkę do kościoła; szczególniej młodzież, rzadki jednak umie o tyle czytać aby zrozumiał co w książce stoi. Oprócz książki do nabożeństwa inny rodzaj czytania nie znany tu zupełnie. Skądże bo ma być znanym? Klasy oświeceńsze czytają mniej niż gdzieindziej, pism peryjodycznych bardzo mało w naszych stronach się obraca, na prowincyjonalne pismo i myszy się nie gonią, a obowiązująca nas „Gazeta Kielecka“ nigdzie spotykać się nie daje. Doniosłość pism prowincyjonalnych nie jest tu rozumiana jeszcze.

Odrębność drobnych posiadaczy ziemskich od większych, znaczna; wpływ oświecający duchowieństwa słaby. Oto skrócony obrachunek spraw naszych umysłowych.

Co do słabo rozwiniętego i powiększej części miejscowego przemysłu oraz handlu cierpiącego z przyczyny rozwiniętego zapewne przemytnictwa, wstrzymuję się obecnie z bardziej szczegółowemi wiadomościami, pragnąc w późniejszym liście zebrać o ile możności dokładne dane statystyczne. *A. Mir...*

Kielce 7 grudnia 1875 r.

Kto chce uciec od gwaru miejskiego, kogo turkot kół powozowych ogłusza, a ploteczki sławę bliźnich szarpiące do snu bez marzeń ukołysać mogą, tego zapraszamy nad błotną Silnicę, póki jeszcze świst lokomotywy, czego mamy prawo się obawiać, z budystowskiej nie obudzi nas kontemplacyi. Ach! jak tu cicho... jak cicho! Nikt nikomu bardzo nie przeszkadza; każdy u siebie i każdy osobne tworzy ognisko . . . Kiedy niekiedy tylko sąsiad lub sąsiadka do domowego garczka sąsiadowi zajrzy, szepnie słowo, dwa słówka półgłosem przez komunikacyjną tubę; słychać szum czas jakiś, a potem już cicho, jak makiem zasiał, póki co nowego ciekawych nie zaniepokoi umysłów. . Wprawdzie przed dwoma laty, nim się jeszcze odrodziła „Gazeta Kielecka,“ słychać było o jakiemś stowarzyszeniu wzajemnej pomocy, o „kasie pożyczkowej“ dla urzędników, i tak du żo gadano, że aż włosy powstawały na głowach *porządnym obywatelom.* Ktoś nawet podobno z partyi postępowców miał wygłosić z tego powodu odczyt „o socyjalizmie i komunizmie,“ inny znów „o stowarzyszeniach,“ obaj zaśmieli bodaj dowodzić, że unikając komunizmu a z nim zgubnej maksymy „la propriété c'est le vol,“ można przecie dla własnego interesu nie unikać dozwolonych przez rząd stowarzyszeń . . . Odczyty jednakże schowano wkrótce do teki, niby broń do pochwy, a towarzystwo

wzajemnej pomocy, mimo opracowanej w połowie ustawy, dla tego głównie zawiązać się nie mogło, że, jak mi mówiono, z powodu [illegible] snasek osobistych, dwa zamiast jednego utworzyły się ogniska . . Ale to już stare rzeczy, i o tyle tylko warto się nad niemi rozwodzić, o ile żywa dziś o nich pamięć i tkwiące w wielu umysłach poczucie społecznej potrzeby, nową latorośl czynu wydać są jeszcze zdolne.

Odsłońmy jaśniejsze strony kieleckiego życia. Miasteczko nasze nie jest bo gorsze od innych. Wszakże mamy dzielną, obywatelską straż ogniową, mamy gazetę, mamy w porze zimowej i teatr. Jest się więc gdzie zjednoczyć i przyczem ogrzać, byle tylko chęci były. Wybaczycie jednak szanowni czytelnicy, że odkładając na teraz pogawędkę o innych rzeczach do następnej korespondencyi, zajmę się tu wyłącznie teatrem, a zajmę się nim nie dla tego, abym sztukę dramatyczną uważał za cenniejszą od sztuki życia, ale że uwaga moja obecnie w skutek znakomitej przewagi doznanych wrażeń, ku temu punktowi jest skierowaną.

Wiadomo, że w razach wątpliwych daleko bezpieczniej jest ganić niż chwalić, zwłaszcza gdy przebywamy na prowincyi, w owej rozległej, dzikiej, a niedość określonej ojczyźnie potworów i oryginałów . . . Gdzież tu porównanie ze stolicą: tu nawet róże mniej pachną i drzewa krzywiej rosną. Tak myślą obywatele wsi i miasteczek, dla których większe miasto jest ziemią obiecaną; tak w pewnej mierze sądzą i ci, co w ramach wielkomiejskiego salonu wzrośli, tak może w różnym stopniu i my wszyscy sądzimy... Lecz aby się zbliżyć do przedmiotu, o którym chcę mówić, przejdźmy na inne stanowisko obserwacyjne. Czem miasto wielkie z całym zasobem zjawisk, świecideł i cudów, tem wszelka uznana wielkość i powaga względem przedmiotu nowego, który już dla tego że jest nowym, pieczęcią uznania cieszyć się jeszcze nie ma prawa. I można wiedzieć na pewno, iż każdą powagę, ogół ludzi bezwarunkowo pochwali, rzecz zaś nie mającą przeszłości i sławy, zgani lub chłodnem milczeniem pominie. Czy kto słyszał kiedy np. pośród gładkiej biesiady naganę „Hamleta“ Szekspirowego lub „Dziadów“ Mickiewicza? pewno nie. Może powiecie, że ogół śpiesząc tłumnie na przedstawienie „Otella“ czy „Hamleta,“ doznaje Bóg wie jakiej roskoszy artystowskiej? Gdzie tam! sala się napełnia, bo utwór ma rozgłos. Niech jednak nikt nie sądzi, abym sobie lekceważył rzetelną powagę, którą zawsze poprzedza zasługa. Chcę tylko, dążąc do pewnego celu, potrącić mimochodem o spólną nam wszystkim, ogólnie ludzką słabostkę wynoszenia pod niebiosa tego, co już wyniesione, „złocenia złota“ i „barwienia lilij,“ a natomiast, poniżania wszystkiego, co się jeszcze w niebie opinii publicznej dość wysoko nie wzniosło.

Wstęp powyższy był koniecznym o tyle, że piszący ma się odważyć pod naciskiem indywidualnego echa prawdy, na rzecz w swoim rodzaju niezwykłą . . .

Pośród drużyny adeptów dramatycznych, popisujących się u nas pod wodzą p. Krauzego, jest jeden... dyjament pierwszej wody... „O! już tego to nadto,“ powiedzą niektórzy czytelnicy, jesteś widać bardzo... niedoświadczony, mój korespondencie! Pozwólcie jednak, niech dokończ[illegible]. Publikę naszę (która przecię nie jest tak z grubszego wióra ciemnoty nieociosaną, jakby się to nie jednemu reporterowi warszawskiemu zdawało) umiał teatr kielecki w tym roku ogrzać i zainteresować. W przeciwnościach wyrabia się człowiek, w przeciwnościach kształcą się i siły towarzystwa dramatycznego . . . Drużyna artystów, którzy peryjodycznie miasto nasze odwiedzają, zrobiła (w porównaniu z najbliższą przeszłością) wyraźny krok naprzód. Aktorzy, co podczas dramatycznych wieczorów ubiegłej zimy budzili niesmak w swych widzach (np. p. Lesiewicz), dziś ożywili się jakoś i zasłużone niekiedy zbierają oklaski; ci zaś, których i dawniej za zdolniejszych uważano (np. p. Wójcicki), zdołali się pozbyć w pewnym stopniu monotonnej gry oka i twarzy, a zarazem nad szerszą skalą dramatycznych zapanować efektów. Ale to wszystko, podobnie jak i nabycie świeżych sił różnego pokroju i ceny, nie zapewniłoby może panu Krauze żywszego u tutejszej publiczności spółczucia, gdyby nie pewien wyższej potęgi talent, ów jak się nieoględnie może wyraziłem, dyjament pierwszej wody, co małą scenkę naszę nad poziom prowincyjonalny niespodziewanie podnosi... Jest nim, panna Marcello (Marczello). Mężczyzni i kobiety, starzy i młodzi, postępowcy i konserwatyści, wszyscy słowem, co odwiedzają karykaturalnemi freskami ozdobioną salę (!) teatralną śpieszą tam głównie dla tego, aby na ich sercach zagrała Marcello. Urok tego imienia jest tu dziś bardzo wielki. Rzecz jednak pod względem psychologicznym godna uwagi, że choć wszyscy *w duchu* nad prawdą gry, nad pełną zapału deklamacyją się unoszą, nikt (przynajmniej dotąd) nie śmie na głos powiedzieć, że to talent pierwszorzędny. A dlaczego? oto dla tego poprostu, że p. M. występuje w Kielcach i że jej przybycia żaden dziennikarski nie poprzedził rozgłos... Każdy jednak, przy kupnie biletów (co sam wielokrotnie miałem sposobność sprawdzić) nie pyta nawet co grają, lecz „czy gra Marcello?“ Widzicie więc, że mam opiniją powszechną za sobą. Choćbyście mię jednak, sz. czytelnicy, wartogłowem lub czemś podobnem nazwać mieli, nie zgodzę się nigdy na to, aby mówiąc o tutejszej primadonnie dramatu, stosować znane przysłowie: „beati imocoli nella terra di ciěchi“ (szczęśliwi jednoocy w krainie ślepych); gdyż panna M. jednooką w obranej dziedzinie ducha, miernotą w swoim zawodzie wcale a wcale nie jest. Ale zadługo podobno w chaosie ogólników krążę. Przystąpmy zatem do rzeczy. Panna Marcello ma około 18 lat wieku, wzrost wysoki, oczy ciemne, włosy krucze, cerę śniadawą i urok dziewczęcia z nad Gangesu. Głos jej, pełen metalicznej dźwięczności i siły, rozwinął się już w znakomity zasób tonów do cieniowania wyższej roli niezbędnych, co tembardzej zasługuje na uwagę, iż tej mechanicznej potędze towarzyszy zapał olbrzymi, oraz intuicyjna zdolność pojmowania charakterów, nad wyraz szczęśliwa. Przed tygodniem przedstawiano „Adryjannę Lecouvreur.“ Była to, jak się domyślacie, sztuka przewyższająca siły towarzystwa; oprócz roli naczelnej, można było tylko mniej lub więcej pomyślnie obsadzić rolę reżysera M. (p. Krauze), rywalki Adryjanny (pani Krauze), i uczonego rozpustnika, księcia de B.. (p. Raczyński). Odtworzenie ważnej postaci Maurycego powier[illegible] młodziutkiemu adeptowi sztuki, p. R., który mimo najlepszych chęci i pewnych *in crudo* zdolności, w każdej fazie rozwojowej przedst[illegible]ego charakteru, mógł nam tylko twarz [illegible] najniewinniej rozpromienioną okazać i chłopięcym [illegible]onić dyszkantem . . . Tytułową rolę grała p. M. I cóż? może myślicie że ją zepsuła? Bynajmniej. Widziałem kiedyś w tej roli Palińską i królowę sceny p. Modrzejowską, a jednak gra panny M. wywarła na mnie, podobnie jak i na innych, nadspodziewanie potężne wrażenie. Dykcyja pełną była siły i umiejętnego cieniowania, ruchy szlachetne, gra twarzy, pracowicie obmyślana, swobodna a wymowna. Można by jej wprawdzie zarzucić, że słabszą jest tam, gdzie *patos* przechodzi w komizm, to jest że lepiej się unosi, niż opowiada; że czasem mówi za pośpiesznie, że nakoniec zdarza się kiedy niekiedy i ruch fałszywy i za ostra tonacyja głosu . . ; ależ panna M. od lat kilku zaledwo i prawie bez przewodnika pracuje w swym zawodzie, a najpierwsi nawet mistrze naszej i zagranicznej sceny nie wznieśli się przecię odrazu na szczyty . . . Za to wam powiem, śmiało, bardzo śmiało: że rozmowa z reżyserem, kiedy się ten Adryjannie ma z miłością oświadczać, jak niemniej lafontenowska bajka o gołębiach i deklamacyja z „Fedry“ nie mogły nigdzie znaleść lepszej reprodukcyi, a przynajmniej ja w tej chwili nic doskonalszego pod względem uczuciowym i tonicznym wyobrazić sobie nie umiem . . .

M. zawarła już, jak mi mówiono, kontrakt z zarządem teatru lwowskiego, gdzie w pannie Deryng (którą miałem sposobność widzieć w Fauście na scenie warszawskiej) godną siebie znajdzie spółzawodniczkę. Cenny-to będzie dla Lwowa nabytek, a dla panny M. wyborna pod mistrzem Rychterem szkoła. *Quivivra, verra!* Tymczasem pozostaje mi tylko życzyć pannie M. pomyślności i wytrwałych nadal studyjów w tak szczęśliwie obranym zawodzie.

A. G. B.

KOŚCIÓŁ MARYJACKI W KRAKOWIE
I RATUSZ NA KAZIMIERZU.

Budowa kościoła Maryjackiego w Krakowie którego widok podajemy czytelnikom w dzisiejszym numerze „Opiekuna,“ sięga XIII-go wieku, a jak się okazuje z wszystkich dawnych opisów Krakowa, Iwon Odrowąż był jego założycielem. Długość świątyni wynosi stóp polskich 236, szerokość 106 stóp. Wysokość do szczytu sklepienia stóp 88, a 133 po szczyt dachu. Wieża wyższa zwana maryjacką, ma wysokości 246 stóp wiedeńskich, a zatem wyższa jest nieco od norymberskiej ś. Sebalda, a prawie równa paryskiej na kościele Notre-Dame.

We wnętrzu Maryjackiego kościoła, przedewszystkiem uderza wielki ołtarz, arcydzieło rzeźby Wita Stwosza z Krakowa. Z innych przedmiotów wnętrza kościoła zasługują jeszcze na uwagę: ławy radzieckie, ławnice; wielkie stalle w prezbyteryjum, ołtarz ś. Stanisława w nawie bocznej, grobowce

z czerwonego i czarnego marmuru, i siedm bronzowych.

Drugi rysunek przedstawia przedmieście nazywane Kazimierz, z ratuszem oryginalnej i starożytnej architektury.

Z ULICY.

I.

Niedziela, południe. Zimowe słońce całem morzem brylantowych promieni oblało ubielony stary gród nadwiślański; jędrne mroźne powietrze nie pozwala nam pogrążać się w filozoficznej zadumie; tak niebezpiecznej dla fejletonistów; tłumy ludu snują się po ulicach, snują się i suną, jak zwykle w niedzielę niby kontenci, że mogą porzucić codzienne zajęcia, niby zakłopotani co zrobić z sobą i swoją niedzielą—i jak uciec przed ścigającą ich... nudą. Spieszmy za nimi. Mijamy barwy tłum nowych kapeluszy i futer, dalej a dalej jesteśmy koło Zygmunta. Któż nie rzucił okiem choć raz w życiu na cudowny widok jaki się stąd roztacza przed zadumanym widzem. Wisła skamieniała, błękitną wstęgą podesłała się pod stopy swej starej władczyni, a dalej jak okiem sięgniesz mazowieckie łany i bory. Lgnie oko i dusza do tych rozległych obszarów, radbyś po nich swobodnie pohulać, radbyś prawie być ptakiem, i zazdrościsz że szczęśliwsza pod tym względem myśl twoja, biegnie na skrzydłach wyobraźni po za widome granice. Przed oczyma twej duszy rozpościera się nieskończona przestrzeń niw, łąk i szumiących sosnowych borów, w których tak błogo, spokojnie, uroczo...

Jakże piękną jest ziemia, jak piękną i wielką natura, a jak słabym człowiek... Ideały jednak dalekie, a rzeczywiste życie unosi nas w owym kipiącym odmęcie, fala snującego się ludu porywa nas z sobą, dalej więc z nią w wir świątecznego życia, jeżeli tylko ma ono jakie wiry, dalej w te cuchnące kanały, które nazywamy ulicami wielkiego miasta!. Dalej do tej wielkiej fabryki, gdzie zarówno wśród nędzy jak blasku, wyrabia się przyszłe życie ludzkości. Miasta były zawsze owym przyszłości zaczynem.... W nich to najpierw niewolnicza praca zaczęła wywalczać sobie niezależność, wywołując zarówno energicznego ducha odporu, jak kojarząc tych co pod jednymi sztandarami walczyli i pracowali. Kościół i krzyż roztaczał nad tem wszystkiem opiekuńcze ramiona. Pod jego sklepieniem głoszono wielką zasadę równości, w nim każdy się czuł u siebie, w nim był jeden tylko lud.... Dziś, dziś z tego wszystkiego pozostały tylko gruzy i dłonią wieków zabalsamowane postacie, które nie przemawiają już językiem zrozumiałym dla żywych!... Stare się przeżyło, nowe nie rozwinęło a na tej starej i pstrej powierzchni, która się zowie teraźniejszością, gęsto się krzewi wszelki chwast ludzkiej głupoty, wszelka niecnota, wszelkie pół-charaktery i pół-myśli, wszystko to co się zaparło szerszego oddechu!.. Ale otóż i oni. Wyperfumowani, wystrojeni, wylawszy cały zapas wrzącego uczucia, według recepty zapisanej w pięknie oprawnych książeczkach u stóp ołtarzy, śpieszą do nowych świątyń z równem nabożeństwem. Pójdźmy za nimi. Największa fala zwraca się ku wystawie sztuk pięknych. Książeczki przeczytane, rozłzawione oczy obtarte batystową chusteczką, wzburzone serca ukojone balsamem modlitwy, trzeba oczy nakarmić bogatą barw harmoniją. Wejdźmy więc. Sala zapełniona obrazami; otwiera się szerokie pole... dla krytyki. O! bo ani przypuszczacie nawet ilu Warszawa ma krytyków. Ci wszyscy co przed chwilą byli pokornemi i pilnemi czytelnikami, i stale czuli się zachwyceni, uniesieni, rozczuleni, tu przemieniają się w krytyków. To ich właściwa rola. Każdy drapuje swe czoło oznaką powagi i okiem znawcy, w szkło uzbrojonym, uważa się za uzdolnionego do wyrokowania o wszelkich... kolorach, nie przeczę. Przygląda się więc publika mnogim rozwieszonym po ścianach obrazom i krytykuje — szukając rozwiązania już to w własnej głowie, już to u swoich estetyk. Sztuka, mowią te powagi, odrywa nas od mizernych drobnostek powszedniego życia i unosi w niedościgłe dla profanów, olimpijskim tchnące spokojem, krainy ideału. Jest ona, mówią, wyrazem nieokreślonego dążenia ludzkiego ducha ku odwiecznemu „pięknu“ i wyrazem pogardy dla brzydkiego świata. Wymagacie więc od niej tylko harmonii, zgody, spokoju; chcecie spokojnych obrazków, któreby nie drażniły waszych nerwów?.. Schylam w prostocie mego ducha czoło przed delfickim wyrokiem, wygłaszanym pod pieczęcią wieków i waszej powagi, o męże uczeni, o kapłani świata! Wybaczcie jednak prostaczkowi, że nierozumie waszych bramińskich zagadek i gotów czego innego szukać w waszych słowach. Wybaczcie i osądźcie z pobłażaniem! Mnie bo zimno w waszej krainie ideałów, i im bardziej oddalam się od mojej matki ziemi, tym mi zimniej, a ideały wasze przejmują mnie tylko uczuciem chłodnego podziwu i przestrachu, jak to wszystko z czego życie uciekło. Wam o zapoznani, wam może ciepło w waszym eterycznym olimpie. Możecie więc, wybrańcy przemieszkiwać razem z Platonem w tych górnych sferach... Mnie bo dobrze tylko tu, na ziemi, tu gdzie czuję tętno bratniej piersi, ciepły uścisk przyjacielskiej dłoni, gdzie spotykam smętne oko bladej dziewczyny, wybladłą twarz robotnika walczącego bezskutecznie z pochłaniającą go nędzą, gdzie widzę osłupiały i pijany wzrok zbrodniarza walczącego z sumieniem — i gdzie natura przemawia do mnie bogatym językiem wspomnień, uczuć, obrazów, jakby żywcem wyrwanych z mych piersi... Tu tylko ja upośledzony, mogę żyć, wśród tych drobnostek, i brzydkiego, pospolitego życia, mogę nawet o was zapomnieć. Żegnajcie więc mandaryni nauki a światło waszych bezdusznych prawd niech przyświeca zimnym księżycom... Nie z naszego one świata...

Według mego, nieuczonego rozumienia sztuka powinna zejść z olimpijskich wyżyn, zamieszkać wśród nędz tego żywota i zająć się owemi codziennemi drobnostkami, które dla was są niczem a które jednak przemawiają wymownemi głoskami do tych co myślą i czują. Życie samo z jego radością i bólami, z jego połamanem szczęściem i całą krasą tryskającą wiosną oblicza, winno być przedmiotem waszych myśli i treścią waszych utworów. Życie człowieka, dzisiejsze, wczorajsze, jutrzejsze, życie natury, oto wasze tematy. Natura żyje i czuje jak i wy, jej dzieci; w chwilach radości olśniewa was nieskończonem bogactwem barw i tonów, razem z wami duma w cichej wieczornej godzinie, płacze nad waszą niedolą cichą rzewną piosnką lub jęczy jesiennym wichrem, stacza śmiertelne bójki wśród ryku wichrów, szaleje w zimowej zamieci — z dzikiem od bólu szyderstwem rzuca w twarz śmiertelny wyrok bezsilnej niedoli lub wyje dziką pieśnią nad grobem zbrodniarza. Tę naturę i jej życie wyście rozumieć powinni, jej głosy nie powinny być wam obcemi i nie powinny przebrzmiewać bez echa w waszej piersi. Jeżeli jej nierozumiecie, idźcie między lud, a on was z nią zapozna jak ze starym druhem w radości i biedzie, i nietylko tam, wielka księga przyrody niepowinna być dla was tajemnicą. Wśród ciemnych zjawisk życia wyście śledzić powinni nić wiążącą je, nić co się nazywa dążeniem ku szczęściu. Winniście gorąco ukochać człowieka, człowieka nędzy i bólu i zespolić się z jego bezwiednem szamotaniem się w ciemnościach. Wyście powinni rozjaśniać te drogi, wy co władniecie potężnym językiem sztuki; pokazać je światu, i tym co cierpią i tym co używają... Kto winien, wyście o tem wiedzieć powinni...

* * *

Zgadzasz się na to pani, nieprawdaż? Mówią mi to twe ciemne oczy, gdzie pod aksamitnemi, długiemi rzęsami widzę tyle myśli, tyle ciepłego współczucia dla człowieka. Ty kochasz naturę, nieprawdaż; kochasz człowieka i głównie tego, co cierpi i błądzi, bo serce twoje czuje jak żałośnie skarży się przed tobą jego pogwałcone życie, bo umysł twój widzi drogi, które go wiodą ku temu, mimo jego woli... Ty na niego nie rzucisz kamieniem i nie bryźniesz mu w oczy wyniośle—bo winien... Ty potrafisz również pogardzać chłodnym egoizmem, depczącym samolubnie to, coby pięknie wyrosło ku słońcu na zdolnych niwach tego życia. Ty nie masz sympatyi, dla tych co jej dla nikogo i niczego nie mają, a własnych błędów nie okupili cierpieniem...

Lecz przejdźmy się po wystawie: w obrazach przegląda oblicze ich twórców. Ty ich poznasz i gdy jednych pominiesz milczeniem, przed drugimi zatrzymasz się, a ciemne twoje oczy zapatrzą się w świat ich myśli i marzeń. Nie wielu znasz zbliska, bo wielu nauczyłaś się obojętnie pomijać.

Wchodzimy więc. Już jestem przy tobie. Wskazujesz mi parę nie wielkich obrazów malujących drobnostki naszego życia. Co za piękny obraz przed tobą, noc księżycowa w całym jej blasku. Całe niebo skrzy się gwiazdami, które patrzą brylantowemi oczyma na uśpiony świat. Srebrne potoki światła oblewają ubielony zimowy krajobraz. Drzewa i zdala świecące chaty rzucają długie cienie. Cudowna, spokojna, majestatyczna zimowa noc... Pamiętasz nasze noce. Nieraz wśród zimy, mknąc po śnieżnej kolei, myśl twoja z lubością spoczywała na

tych białych, milczących a jednak tak wymownych obszarach. Gdybym mógł widzieć wtedy twoje zadumane oczy... Na tle tej nocy ciągną sanie pełne myśliwych; konie idą wolno, kłęby pary unoszą się nad niemi, psy biegną na około sani, wszystko zda się być pogrążone w spokojnej zadumie. Wszystko uśpione, a jednak wszystko mówi ci do duszy. Spoglądasz za nimi, wywołujesz podobne wspomnienia... O, bo któż nie podziwiał tych wysrebrzonych obszarów, któż wtedy nie myślał i nie czuł.... A oto znowu jesień. Cała natura zda się być jednym chaosem tonów, wśród których tylko jedna piosnka dźwięczy wyraźnie, piosnka niedoli. Ciemny wieczór jesienny, okropna słota, rozszalały wicher i dym wyprawiają jakiś sabat czarownic. Wszystko w największym nieładzie, wszędzie widzisz tylko blade, szyderczo wykrzywione widmo śmierci i zniszczenia... Wśród tego—nędzna chata, zda się zostawiona na łaskę kapryśnym podmuchom; pode drzwiami skulony pies skomle żałośnie, a wychudłe słoneczniki walają się w błocie. Pod słomianą strzechą błyszczy jednak światełko na ciemnem tle nocy. Znać że złośliwe podmuchy nie stłumiły jeszcze wewnętrznego ciepła, że to życie złamane, stłumione, tli się jednak niewygasłem ogniem i ciepłem swych pragnień... Co za kontrast? Obok spokojnej majestatycznej natury, która zdaje się kołysać do snu i słodkich marzeń najulubieńsze swe dziecię, takie szalone wybryki, takie złośliwe urągowisko, rzucone prosto w twarz człowieczym pragnieniom. O! bo natura nie zawsze jest dobrotliwą matką; dla wielu jest tylką złośliwą macochą; dla wielu piewa smutną pogrzebową piosnkę. Dla czego? wiele o tem mówić by przyszło i nie wszystko powiedzieć... Albo ta noc letnia, spokojna, codzienna, ze swemi gwiazdami. Wszystko spoczywa, znużone całodzienną pracą i letnim skwarem; tylko psy, które się w dzień zapewne dobrze wyspały, igrają swobodnie przy blasku księżyca, i tylko obdarty stróż chodzi na straży. Wysoki kapelusz nacisnął na oczy i patrzy się w gwiazdy, a patrzy ot tak sobie, z ciekawości; zagapił się zapomniawszy na chwilę o swych dziurawych łokciach, patrzy jak na cóś obcego, bo nużąca praca i codzienna troska nie nauczyła go patrzeć na nic więcej oprócz swoich rąk, myśleć o czem innem prócz o swojej biedzie. A może, kto wie jakie tam myśli snują się mu po głowie, dziwi go zapewne ten spokój natury.... Tu znowu scena na podwórzu. Co za wyborne szlacheckie figury. Przypominają ci wieś, jeżeli byłeś na niej kiedy. Co za pyszny koń, a ten amator, szlachcic z jakiem zamiłowaniem pochylony, a ten drugi wyprostowany jak struna, a zdrowa córeczka w postawie oznaczającej świadomość siebie, jaka wyborna, nieprawdaż. A pokorna, przestraszona, bezmyślna prawie twarz parobka, czy i jej nie przypominasz sobie?.. Albo to wołyńskie miasteczko z szlachcicem i żydkami, lub ten przyjazd na polowanie. Czy polowałeś kiedy, czytelniku zimą. Wybierałeś się zapewne o brzasku do chaty gajowego, sankami... Widzisz to wszystko na obrazie. Co za charakterystyczne figury, ile życia, ile prawdy.

I wszystkie te obrazy są pędzla młodego malarza Józefa Chełmońskiego. Wyborne, mówisz; rozumiem cię zupełnie... Ty także jak on potrafisz odczuwać życie natury i ludzi... patrzeć w niego rozumnem okiem i widzieć to, czego inni i przez okulary nie widzą. Niech się więc tu uczą patrzeć i myśleć... W panu Chełmońskim spotykamy myślącego i sympatycznego niezmiernie artystę. Te jego obrazy, równie jak i poprzednie, pełne prawdy i życia i nieobojętne dla każdego kto zna człowieka i naturę. Widzimy nawet ciągły postęp od rzeczy drobniejszych, rzucających się w oczy jakimś charakterystycznym rysem, do obrazów będących już całą pieśnią. Nie wątpimy, że artysta i nadal pójdzie tą drogą, że nie są to bezwiedne, przejściowe porywy, lecz że ucząc się wpatrywać w to życie, będzie w niem odkrywał co raz to nowe strony niezrozumiałe dla wystudzonych i płytkich. Chcielibyśmy go widzieć na tej drodze... A wtedy przyjdziemy tu znowu pani, nieprawdaż. Resztę obrazów zostawmy licznie zebranym krytykom... Ale, zapomnieliśmy o krytyce naszych, o kolorycie, perspektywie... A... zostawmy to krytykom z urzędu: błędy należą już do nich, to już ich wyłączna specyjalność... Wyjdźmy więc. Pozwól pani że odprowadzę cię z szanowną twoją mamą do domu, gdzie oczekuje was zapewne obiad i zniecierpliwiony ojczulek, i pozwól mieć nadzieję, że ta przechadzka nie będzie ostatnią... *E. P.*

GAWĘDY HIGIJENICZNE I LEKARSKIE.

XVII.

Rośliny pokojowe oczyszczające powietrze.

z Prof. i D-ra Bock'a podał St. W. Łukowski.

Kwasem węglanym zowiemy bezbarwny gaz, który może być bardzo szkodliwym dla zdrowia i niebezpiecznym dla życia ludzkiego, jeśli w większej ilości przeniknie do płuc, lub nagromadzi się we krwi. Może on nawet wywołać, przy wdychaniu go, kurczowe ściśnięcie krtani, i przez to spowodować szybką śmierć w skutek zaduszenia.

Kwas węglany składa się z węgla i tlenu, tworzy się zaś przy paleniu materyi, zawierających węgiel, bez względu, czy to będzie szybkie palenie z rozwojem światła (np. przy paleniu drzewa w piecu), czy też powolna, prawie niedostrzegalna sprawa utleniania (jak np. gnicie i fermentacyja). W ustroju naszym, mianowicie we krwi, powstaje ciągle kwas węglany w skutek spalenia dobrych, przydatnych—i złych, nieprzydatnych materyj. Nadmiar rzeczonego kwasu we krwi mógłby wiele szkodzić zdrowiu, gdyby pewne narzędzia w różnych częściach ciała, nie wydalały go bezustannie. Takiemi narzędziami wydalającemi są głównie płuca i skóra, które za pomocą wydychania i wyziewu, uwalniają ciągle krew od gromadzącego się w niej kwasu węglanego. Jeśli więc kilka osób pozostanie przez dłuższy czas w zamkniętej przestrzeni, wtedy naturalnie powietrze, powinno stawać się co raz bogatszem w węgiel, a zatem coraz mniej zdatnem do oddychania. Skoro zaś nadto, w owej napełnionej ludźmi przestrzeni, będzie się jeszcze cokolwiek palić (np. węgiel, drzewo, świece), wówczas tworzenie się kwasu węglanego znacznie się wzmocni.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że w szkołach, gdzie, szczególniej podczas zimy w napełnionej uczniami sali, wywiązuje się dużo kwasu węglanego, trujący ten gaz bywa często przyczyną zasłabnięcia uczniów. Okazuje się więc konieczną w wyższym stopniu rzeczą, przedsiębrać środki celem natychmiastowego usunięcia ze sal szkolnych, kwasu węglanego.

O ile szkodliwem jest dla człowieka wdychanie kwasu węglanego, o tyleż niezbędnym jest dlań inny gaz, bez którego nie może on żyć, a mianowicie *tlen.* Nieodzowny ten do życia, bezbarwny również gaz, znajduje się w powietrzu atmosferycznem i bywa ciągle przez płuca wdychany. Z płuc przechodzi tlen do krwi, przenosi się wraz z nią do wszystkich części ustroju i pomaga do spalenia przydatnych i nieprzydatnych materyj, wchodzących w skład krwi (przy czem wywiązuje się ciepło i powstaje kwas węglany). W płucach więc odbywają się dwie następujące sprawy: część tlenu, znajdującego się w powietrzu atmosferycznem, przechodzi do krwi; część zaś kwasu węglanego przenika ze krwi do pęcherzyków płucnych, i przez wydychanie zostaje wydaloną z ustroju. Dla tego też powietrze wydychane musi zawierać mniej tlenu, lecz zato więcej węgla, aniżeli wdychane.

Rośliny, według swego stosunku do tlenu i węgla, są nadzwyczaj pożyteczne dla ludzi. Bez nich życie nasze byłoby niemożebnem: rośliny bowiem zaopatrują nas w niezbędny do życia tlen i usuwają z powietrza szkodliwy kwaś węglany, pochłaniając go i rozkładając. Jak to wyżej już wzmiankowaliśmy, kwas węglany składa się z węgla i tlenu, połączonych ze sobą chemicznie; przy rozkładzie zaś owego kwasu przez roślinę, uwolniony tlen przechodzi do powietrza atmosferycznego, które przez to staje się zdatniejszem do oddychania, a węgiel pochłania sama roślina, której niezbędny jest on do życia, podobnież, jak tlen człowiekowi.

Nie wszystkie jednak części rośliny zdolne są rozkładać kwas węglany, i prócz tego, rozkład ten nie w każdej porze dnia może się odbywać. Same tylko zielone części rośliny, to jest głównie *liście*, i jedynie w ciągu dnia, przy współudziale światła słonecznego, oswobadzają tlen z kwasu węglanego. Zjawisko pomienione łatwo można zauważyć: potrzeba tylko zielone liście rośliny skropić świeżą wodą i wystawić je na działanie światła słonecznego, a wnet pokryją się one niezliczonemi pęcherzykami, zawierającemi właśnie tlen. W ciemności, przeciwnie, zielone części rośliny wydzielają z siebie kwas węglany. Kwiaty, owoce i korzenie, wydzielają z siebie zawsze, nawet przy działaniu światła słonecznego, kwas węglany. Utrzymywanie więc roślin, czy to kwitnących, czy też niekwitnących, w pokojach sypialnych jest w każdym razie szkodliwe. W innych zaś pokojach, rośliny liściaste okazują się, przeciwnie, bardzo pożytecznemi, gdyż przeszkadzają na-

gromadzeniu się w powietrzu zbyt wielkiej ilości kwasu węglanego (w skutek oddychania ludzi i zwierząt), rozkładając ten ostatni w ciągu dnia, za pomocą swej zieleni liściowej (chlorophyl) na części składowe.

Z pożytecznej tej własności roślin, mogłyby, zdaniem mojem, odnieść wielką korzyść osoby, zmuszone codziennie w znacznej ilości zbierać się w zamkniętej przestrzeni, a tem samem, oddychać tam zepsutem powietrzem, nasyconem kwasem węglanym. Szczególniej zaś w szkołach, radzilibyśmy, ażeby dla oczyszczenia powietrza, prócz urządzenia odpowiedniego przewietrzania (wentylacyi), utrzymywano nadto znaczną ilość roślin liściastych. Nie należy pomijać z uwagi, że człowiek przepędza w szkole znaczną część swego życia, i to wtedy właśnie, kiedy czyste powietrze jest dlań tyleż prawie, jeśli nie więcej, koniecznem do prawidłowego rozwoju fizycznego, co i pokarm pożywny. Zresztą obecność roślin w salach szkolnych byłaby nie mniej i dla nich samych pożyteczną: z ogromnej bowiem ilości kwasu węglanego, wydzielonego przez uczniów, mogłyby owe rośliny przyjąć tyle węgla, ile im tylko potrzeba, zaopatrując natomiast uczniów w tlen.

Prócz tego głównego celu (mianowicie usunięcia z powietrza szkodliwego kwasu węglanego i dostarczenia tlenu), umieszczenie roślin w salach szkolnych pozwoliłoby osiągnąć wiele jeszcze innych celów pobocznych. Najprzód, widok pięknych, dobrze rozwijających się roślin, przyjemnie działa na większość ludzi i przyniósłby wielką uciechę uczniom. Następnie, rośliny te mogłyby niekiedy służyć nauczycielom za powód do poglądowego objaśnienia. Różnokształtny rozwój liści, rozmaitość postaci ich i barwy, stopniowy wzrost samej rośliny i t. p., mocno potrafiłyby zapewne zaciekawić dzieci, gdyby uwaga ich choć raz skierowaną została na ten przedmiot przez nauczyciela. Przyzwyczaiwszy się miłować rośliny, obchodziłyby się dzieci i później, gdy dorosną, daleko troskliwiej z drzewami, i nie niszczyłyby ich bez potrzeby. Pielęgowanie roślin, byłoby pomiędzy innemi, dobrem zajęciem dla uczniów. Niektórym z nich możnaby powierzyć polewanie, oczyszczanie liści, przesadzanie w inną ziemię i w duże doniczki i t. d.; wielu zatrudnienie to mogłoby zachęciło do ogrodnictwa. Uczniowie przywiązaliby się prędko do tych roślin i z zadowoleniem troszczyliby się o nie. Podobne hodowanie roślin mogłoby nawet służyć dla szkoły za źródło dochodu, gdyż łatwo znalazłyby one nabywców, a otrzymane stąd pieniądze dałyby się użyć z korzyścią.

Z roślin, które najdogodniej mogą być hodowane w salach szkolnych, zalecamy szczególniej: *bluszcz*, *akacyje* (acacia longifolia, lophania, aromata), *smokowiec* (dracaena australis, congesta) *daktylowiec* (palma phoenix dactilifera), *oleander* i wiele innych.

ŚLADY ŻYCIA.

XLVX.

Tyle życia ile w czynie.

Mzurów 6 grudnia 1875 r.

Szanowny Redaktorze!

W Nrze 42 „Opiekuna Domowego“ z r. b. w korespondencyi z Krakowa z d. 1 października, wyczytałem kilka uwag, z powodu których przedstawić muszę swoje veto, pochodzące z przekonania człowieka, dziś już dosyć starego, który całą młodość swoję w starożytnym grodzie Krakusa przepędził i musi stanąć w obronie dawniejszych jego czasów, aby dowiódł, że o staruszku nie zapomniał i nie jest niewdzięcznym za otrzymane tam wykształcenie.

Od roku 1826 do 1846, przez lat dwadzieścia, mieszkałem w Krakowie, patrzyłem więc na objawy życia, usposobienie mieszkańców, wzrost handlu i przemysłu. W dwadzieścia pięć lat później przybyłem po tak długiej nieobecności odwiedzić dawną moję kolebkę, pragnąc powitać tych samych mieszkańców, z którymi młodość spędziłem. Nie wiem, czy usposobienie moje w późniejszych latach, czy inne jak być dziś powinno wyobrażenie w sercu zakorzenione, odczarowało mnie zupełnie i radość moję w smutek zamieniło.

Szanowny korespondent „Opiekuna Domowego“, oskarża rzeczpospolitą, że mało się przyczyniła do rozwoju miasta, że Kraków dopiero od lat 15 zaczyna się oczyszczać i przyozdabiać, bo rzeczpospolita niewiele zdziałała dla wzrostu ludności, rozszerzenia handlu i oprócz plantacyj żadnej innej zasługi mieć nie może.

Bójcież się państwo Pana Boga! czy ów „Drang aus Kaźmierz, nach Kleparz und so weiter“, przez rzeczpospolitą tak wstrzymywany, można nazwać właściwem powiększeniem ludności? Czy zakładane w całym grodzie żydowskie tandety wysortowanych „auschusów“ wszelkiego rodzaju, można nazwać rozszerzeniem handlu? Czy dwie wiorsty asfaltowego chodnika przez ulicę Szpitalną i Rynek, na których cisnący się izraelici jak niegdyś na Kaźmierzu rozrabiają straszliwe błoto, albo owe wyrażając się po krawiecku „sobotnim sztychem“ na pytel, stawiane cienkie mury, jakby się wznoszący je, bombardowania albo trzęsienia ziemi spodziewali, więcej znaczą, jak sławne na całą Europę krakowskie plantacyje? — przecież rzeczpospolita krakowska mająca nie dziesięć, jak się korespondent wyraża ale przeszło trzydzieści tysięcy ludności, potrafiła utrzymać dwa gimnazyja Ś tej Anny i Ś tej Barbary oraz Uniwersytet, który za niej niemało wydał ludzi zdolnych, żyjących jeszcze dziś pomiędzy nami. W zakładach tych blisko trzy tysiące młodzieży pobierało nauki młodzież uboga miała pomieszczenie w Bursie, niepotrzebując płacić prywatnym spekulantom znacznych kwot, za nędzne życie i mieszkanie. Nie mogło tu być naturalnie tak wielkiego ruchu ludności, boć nie było tu 20,000 jak dziś wojska, tylko 400 miejscowej milicyi i tylko 6,000 żydów na Kaźmierzu. Był tu ruch umysłowy znaczny, ale nie było mieszaniny bigoteryi z bezwyznaniowością, ani bigosu hultajskiego złożonego z egoizmu, wekslarstwa, spekulacyi i lichwy, czego przecież wzrostem moralnym ludności nazwać nie można. Jeżeli mamy nazwać także objawem ruchu handlowego, owe budy u stóp starego zamku na Wawelu powystawiane, ową szopę pana Frübecka, w której was zacni krakowianie w każdy popielec, abyście więcej piwa pili, niesolonym śledziem „za darmo“ częstuje, ogłaszając wielkiemi afiszami wielką ucztę śledziową (Heringsschmaus), tak potrzebną przy Rękawce i Koniku zwierzynieckim jak dyjabeł w Częstochowie; toć przecie przypominamy sobie, jak znakomite, renomowane sklepy i składy różnych towarów miał Kraków za dawnych czasów, a pomijając te, pamiętamy dobrze, że księgarnie razem z owemi sklepami otwierane i zamykane były, nie tak jak dziś w trzy godziny po wschodzie i tyleż przed zachodem słońca; że dopiero teraz, upowszechniło się i uzasadniło zdanie księgarzy, że jeżeli który wyda książkę w stu egzemplarzach to 60 egzemplarzy weźmie królestwo Polskie, 30 Litwa, 9 Poznańskie a jeden ledwo nabędzie Kraków i Galicyja.

Przepraszam najmocniej szanownego korespondenta za ogłoszenie przeciwnego zdania o byłej rzeczypospolitej, której tak mało zasługi w zarządzie Krakowa przyznaje, być może jednak, że w czasie jej istnienia nie żył, albo nie mieszkał tam, i dla tego sąd o niej wydał za surowy.

Ex-Bocian.

* * *

Otrzymaliśmy list następujący:

„Przesyłam szanownej redakcyi odpis listu własnoręcznego, pisanego na zamku Pilickim przez Maryją Józefę córkę cesarza Niemieckiego Józefa Igo (Habsburga syna Leopolda Igo) zaślubioną w r. 1719 synowi Augusta IIgo, a który po zgonie ojca w r. 1733 objął tron Polski i elektorstwo Saskie.

List ten na bardzo cienkim glansowanym papierze z złoconemi brzegami, służy za dowód, że dostojna autorka zajmując się osobiście interesami, władała językiem polskim, choć błędów ortograficznych sporo. Oto list o jakim mowa:

W pilcy 30 Juny 1.7.4.1.

„Monsieur
abym zadosyć uczyniła rekwizycyi WMCi Pana, wyrazam że lubom wypłaciła ten dłuk JMCi Panu warzyczkiemu woiewodzie Łęczy-
-ckiému, będąc w żołkwi na ten
czas kwit do tey tranzakcyi zos-
-tawiłam w żołkwi, ktory się z-
-naidowac musi w grodzie Lwos-
-kiem, w roku 1725 lub tesz
1726 gdzie iest zapewne Roboro-
-wany co na prętce krociusięko
wyrażam WMCi Panu dziekuiąc
za pamięc Jego y Iestem prawdziwie
WMCi Pana szczerze
Zyczliwa Sługa
Marya Jozefa krolewicowa
polska

PS. Imosc Xiądz Proboscz krakowski opowi obszerni WMOści Panu, ten Interes,

kasz Wmoc, Pan poszukac tego kwitu w grodzie Lwowskiem y w Roku 1724.

Krolewicowa."

Szacowna ta pamiątka jest w posiadaniu p. F. z Krakowskiego, zamiłowanego zbieracza pamiątek przeszłości. Do kogo list był pisanym, dojść niebyliśmy w stanie z powodu braku adresu.

W dworze Zdowskim,
dnia 2 Grudnia 1875 r.

M. J. W. Fedorowski.

Z dopisu zacnego Ex-Bociana—(P. Faustyna Świderskiego) dowiadujemy się, że w zbiorach p. Fedorowskiego są i inne drogie pamiątki przez młodego pracownika w różnych miejscach pozbierane, które nam następnie komunikować zamierza.

* * *

Obrazek dramatyczny hr. Fredry syna „Przed śniadaniem," przysłowie „Ciekawość pierwszy stopień do piekła" p. Chęcińskiego i komedyja „Marcowy kawaler" Blizińskiego, złożyły się na program przedstawienia amatorskiego, jakie odbyło się w dniu 8 b. m. w sali Doliny Szwajcarskiej, na rzecz szkoły elementarnej przy ulicy Pięknej, w której trzysta dziewczątek dzieci biednych rzemieślników, znajduje troskliwą opiekę. Cel zacny widowiska ściągnął liczną bardzo publiczność, ogólny też dochód brutto około rsr. 500 wynosi.

* * *

Bazar na ubogich, odbywać się będzie w salach redutowych w dniach 18, 19, 20 i 21 b. m. tak samo jak w r. z. od godziny 12 w południe do 7 wieczorem. Oprócz 22 sklepów urządzonych przez kupców i 6-ciu sklepów wyłącznie na rzecz biednych, otwartym zostanie w środku sali głównej kiosk z kwiatami i w sali bocznej wystawa maszyn do roboty pończoch. Wybudowaniem i ozdobą sklepów zajmie się budowniczy p. Leon Karasiński.

FANTAZYJA D^ra OX

przez

Julijusza Verne.

(ciąg dalszy).

XIII.

W którem wielekroć udowadnia się, że z miejsca wyniosłego można widzieć wszystkie ułomności ludzkie.

— Więc pan powiadasz? rzekł burmistrz van Tricasse do radnego Niklaussa.

— Powiadam, że wojna jest konieczną, odrzekł radny tonem pewnym, i że nadszedł czas pomszczenia się za długie krzywdy.

— Tego samego jestem zdania, odpowiedział burmistrz i powtarzam panu że jeżeli ludność miasta Quiquendonc nie skorzysta ze sposobności odzyskania swych praw, niegodną będzie swego imienia.

— A ja utrzymuję, że powinniśmy bezzwłocznie zebrać nasze kohorty i wysłać je w pochód.

— Istotnie panie! istotnie! odpowiedział van Tricasse i to do mnie pan w ten sposób przemawiasz?

— Do pana właśnie panie burmistrzu, usłysz pan raz prawdę chociaż trochę przykrą.

— Pan ją usłyszysz panie radny, odparł van Tricasse w uniesieniu, pan ją z moich ust usłyszysz! Tak panie, tak; najmniejsze opóźnienie byłoby w tym razie hańbą. Od 900 lat Quiquendonc oczekiwało na stanowczą chwilę odwetu, bez względu więc czy to się raczy dziś panu podobać lub nie, pójdziemy na nieprzyjaciela.

— Jakto, to i pan masz zamiar przyjąć udział w wyprawie, zawołał radny Niklausse zdumiony. Myślałem że nie — i byłem zdania że mniejsza o pańską osobę, możemy pójść sami j eżeli pan nie masz pójść ochoty.

— Burmistrz z urzędu jest zawsze na czele, racz o tem pamiętać mój panie...

— A radny to nic nie znaczy?.. hę?...

— Obrażasz mię pan swojemi gadaninami bez sensu, zawołał burmistrz, zaciskając dłonie i zdradzając ochotę do czynnego zaatakowania kollegi.

— A pan mnie obrażasz powątpiewając o moim patryjotyzmie, huknął Niklausse, doprowadzony do ostateczności.

— Mówię panu, mój panie, że armija z Quiquendonc, wyruszy w pochód w ciągu dwóch dni najdalej.

— Ja panie sam wiem o tem, że nim czterdzieści ośm godzin upłynie, pociągniemy na nieprzyjaciela.

Z tych urywków rozmowy łatwo zrozumieć że dwaj niby antagoniści byli w rzeczy samej jednego i tego samego zdania. Obadwaj pragnęli wojny, ale podraźnieni nie mogli przyjść do porozumienia. Niklausse nie słuchał tego co mówił van Tricasse, van Tricasse nie zważał na to o czem mówił Niklausse, stąd spór. Spór tak zacięty że żywszym byćby nie mógł nawet wtedy gdyby przeciwnicy odmiennych byli opinii, to jest gdyby burmistrz żądał wojny a radny przechylał się na stronę pokoju. Z przyspieszonego bicia serc, z twarzy zarumienionych, ścisniętych źrenic, drżenia muskułów i zmienionego głosu pojąć było łatwo, że bliscy byli do rzucenia się na siebie.

Ale wielki zegar odezwał się w porę i powstrzymał przeciwników w chwili, gdy już się mieli pochwycić za bary.

— Oto naznaczona godzina wybiła, zawołał uroczyście burmistrz.

— Co za godzina? zapytał zaperzony radny nie pomiarkowawszy się na razie.

— Godzina w której udać się potrzeba na alarmową wieżę.

— Masz pan słuszność i mniejsza z tem jak się to panu podoba, ja idę tam zaraz, łaskawy panie.

— I ja tam idę w ten moment.

— To chodźmy!

— Dobrze, więc chodźmy!

Te ostatnie słowa pozwalały przypuszczać, że spotkanie ma niebawem nastąpić i że przeciwnicy udadzą się na plac; tak jednakże nie było. Nie, to był tylko pierwszy manewr strategiczny; burmistrz i radny, jako pierwszorzędne znakomitości miejskie, udawali się na ratuszową wieżę, aby z jej wysokości zbadać okolicę i zająć się przedsięwzięciem środków zabezpieczających swobodny przemarsz dla armii.

Lubo zupełnie zgadzali się na jedno, nie przestali podczas drogi sprzeczać się z najnaganniejszą zaciętością. Echa ich głosu rozlegały się po ulicach, ale przechodzącym do tegoż samego nastrojonym kamertonu, ożywienie to zdawało się naturalnem i niezwracali na nie uwagi. W tych drażliwych okolicznościach człowiek spokojny, gdyby się znalazł, uważanym by był jak potwór jaki straszny.

Burmistrz i radny, dobywali się na dzwonnicę w paroksyzmie wściekłości. Nie byli zaczerwienieni lecz bladzi. Straszna sprzeczka o nic, spowodowała jakieś nerwowe spazmy, wiadomo zaś że bladość to dowód ostatecznych granic gniewu.

Przy wejściu na wschody nastąpił wybuch prawdziwy. Kto pierwszy wejdzie? kto pierwszy stąpi na najniższy stopień wschodów prowadzących na wieżę? Miłość prawdy zmusza nas do wypowiedzenia, że miało miejsce popychanie, że radny Niklausse zapominając o względach należnych zwierzchnikowi i najwyższemu urzędnikowi w mieście, odepchnął gwałtownie van Tricasse'a — i rzucił się pierwszy w ciemnię.

Przeskakując z początku po cztery stopnie obrzucali się wzajemnie najobelżywszemi wyrazami i można było przepuszczać że na wierzchołku wieży wznoszącej się na trzysta pięćdziesiąt siedm stóp nad brukiem miasta, spełni się krwawy jaki dramat.

Atoli nieprzyjaciele wyczerpali się wkrótce i przy wejściu na 80 stopień, sapali już głośno ze zmęczenia.

Czy z powodu tego zmęczenia czy z innej jakiej przyczyny decydować o tem nie można, ale to fakt że gniew lubo nie odstąpił ich jeszcze, nie objawiał się tak stanowczo nieprzyzwoicie. Zamilkli i rzecz dziwna, zdawało się, że uniesienie opuszczało ich im się wyżej po nad poziom miasta wspinali. Wrzenie mózgów ustępowało, tak jak wrzenie kawy która się odsuwa od ognia. A to dlaczego? I na to pytanie nie możemy dać odpowiedzi stanowczej, pewną znów atoli jest rzeczą, że dosięgłszy wysokości dwustu sześćdziesięciu sześciu stopni, usiedli i poczęli przyjaźnie spoglądać na siebie.

— Piekielnie wysoko! odezwał się burmistrz chustką twarz ocierając.

— Szkaradnie wysoko! odpowiedział radny i chwytając także za chustę dodał: Czy pan wiesz, żeśmy o 14 stóp po nad wieżą ś-go Michała w Hamburgu.

— Wiem doskonale, odrzekł van Tricasse z pewnem lekceważeniem w głosie.

Po kilku chwilach odpoczynku znakomici mężowie, zaczęli dalszy pochód w górę zapuszając wzrok ciekawy w okienka umieszczone w ścianach. Burmistrz szedł naprzód, radny wszakże z tego tytułu najmniejszej teraz nie robił kwestyi. Na 304 stopniu Niklausse podparł nawet grzecznie pod ramię zmordowanego na amen van Tricasse'a, a ten nie tylko że zezwolił na to, ale gdy przybyli na wierzchołek wieży, rzekł:

— Dziękuję panie Niklausse, uprzejmie ci dziękuję i będę o tem zawsze pamiętał.

Gdy u stóp wieży niby zwierzęta dzikie gotowi byli rozszarpać się na sztuki, teraz na jej wierzchołku stają się znowu najlepszemi przyjaciółmi. Co to jest?...

Czas był przepyszny, bo miesiąc maj na niebie. Cóż za powietrze czyste, upajające! Wzrok dojrzeć może najmniejszy przedmiot w znacznem nawet oddaleniu. Widzieli też jak na dłoni białe mury miasta Virgamen, widzieli domy z czerwonemi dachami. To ciche spokojne w tej chwili miasto, miało być niebawem wydane na wszystkie zgrozy rabunku, pożogi i wojny.

Burmistrz i radny usiedli obecnie przy sobie na małej kamiennej ławeczce jako dwaj dzielni mężowie, rozumiejący się nawzajem, sapiąc spoglądali po sobie, a następnie po chwili milczenia znowu burmistrz odezwał się pierwszy:

— Jakże tu pięknie, mój panie Niklausse kochany....

— Cudownie; odrzekł radny. Czyż pan nie czujesz mój godny, mój jedyny panie van Tricasse, czy pan nie czujesz w tej chwili że ludzkość przeznaczoną jest raczej do przebywania na takich wyżynach, niż do pełzania po tej nędznej skorupie ziemskiej.

— Tego samego jestem zupełnie zdania, szanowny panie Niklausse, tak samo myślę w tej chwili. Tutaj lepiej się czuje, tu się oddycha wszystkiemi zmysłami. Na takich wyżynach filozofowie powinniby pozostawać, na takich wyżynach powinniby zamieszkiwać mędrcy, aby się w małostkach świata tego nie kalać....

— Możebyśmy obeszli w około, zaproponował radny.

— Chętnie przystaję, odpowiedział mu burmistrz na to.

I ująwszy się pod ręce dwaj przyjaciele badali wszystkie punkta otaczającego ich horyzontu.

— To już co najmniej lat dziesięć jak nie byłem w tem miejscu, rzekł van Tricasse.

— Co do mnie to bodaj że nigdy tu jeszcze nie byłem, odrzekł radny Niklausse i żałuję dziś tego mocno; z tej bowiem wysokości, widok prawdziwie wspaniały. Patrz no mój przyjacielu serdeczny, patrzno na tę piękną, na tę wspaniałą rzekę Vaar, płynącą wężem pomiędzy drzewami....

— A tam dalej wierzchołki ś-tej Hermandady. Jakże one cudownie zamykają horyzont. A ten piękny szereg drzew zielonych, tak malowniczo tu i tam rozrzuconych. Ach! natura, natura, Niklausse! nigdy z nią sztuka zrównać się nie będzie w stanie.

— Jest to zachwycające wszystko, jedyny najlepszy mój przyjacielu, rzekł radny. Spojrzyjno na te trzody pasące się na zielonych łąkach, spojrzyj, na te woły, na te krowy, na te piękne barany.....

— Albo ci rolnicy dążący na pola. Toż to pasterze arkadyjscy, brak im tylko fletów....

— A po nad całą tą żyzną rolą, jakież to piękne błękitne unosi się niebo. Niklausse! tu poetą zostać można! Uważaj ja nie mogę tego pojąć dla czego święty Symeon Styllita nie został największym poetą w świecie?

— Dla tego że jego kolumna tak wysoką nie była! odpowiedział radny z łagodnym uśmiechem.

W tej chwili zegar wieżowy z kurantem zadźwięczał. Czyste jego tony zagrały jednę z najbardziej melodyjnych aryj a dwaj przyjaciele wpadli w zachwyt nieopisany.

— Przyjacielu Niklausse, odezwał się spokojnym swym głosem burmistrz: pocóżeśmy przyszli na wierzchołek tej wieży?

— W istocie, odpowiedział radny, za daleko pozwoliliśmy się unieść marzeniom.

— Ale cóżeśmy tu mieli właściwie robić, powtórnie zagadnął burmistrz.

— Przyszliśmy, odpowiedział Niklausse, odetchnąć tem czystem powietrzem nie zatrutem ludzkiemi występkami.

— Tak, no to wróćmy już przyjacielu Niklausse.

— Wróćmy, przyjacielu van Tricasse.

I rzuciwszy po raz ostatni okiem na tę panoramę wspaniałą, burmistrz ruszył pierwszy i począł zstępować ze schodów krokiem powolnym, miarowym. Radny szedł o kilka kroków po za nim. Dwaj urzędnicy doszli już podestu na którym zatrzymywali się wchodząc do góry, a wtedy ich oblicza nabierać zaczęły kolorów. Zatrzymali się na chwilę i na nowo rozpoczęli przerwaną rozmowę.

Po kilku minutach van Tricasse znów prosił Niklaussa o zwolnienie kroku z powodu bólu w nogach, a po ujściu jeszcze dwudziestu stopni prośbę powtórzył.

Tym razem odpowiedział radny, że nie ma ochoty stać na jednej nodze i postępował dalej, a van Tricasse odmruknął mu dość cierpko.

W odwecie radny napomknął nie koniecznie grzecznie o wieku burmistrza a burmistrz zeszedłszy jeszcze z dziesięć stopni, pogroził Niklaussowi dobitnie, że mu to na sucho nie ujdzie.

Niklausse uparł się iść bądź co bądź naprzód a ponieważ schody były bardzo wąskie, nastąpiło w skutek tego spotkanie przeciwników i to wtedy gdy się znajdowali wśród największej ciemności.

— Bałwan bez wychowania, był najdelikatniejszym jaki wtedy zamieniono wzajemnie epitetem.

— Zobaczymy, głupie bydlę! krzyknął burmistrz, zobaczymy jakie przyjmiesz w tej wojnie stanowisko i jak mu odpowiesz.

— Będę miał większe z pewnością jak ty znaczenie, głupi niedołęgo! odciął Niklausse.

Po tem nastąpiły krzyki i mówiono nawet, że dwa ciała runęły w przepaść.

Cóż się więc stało? Dla czego usposobienia zmieniły się tak nagle? Dla czego te baranki na wierzchołku wieży, przemieniły się w tygrysów o 200 stóp niżej.

Stróż wieżowy, słysząc taki hałas na górze przybiegł drzwi otworzyć i zobaczył że przeciwnicy kontuzyjowani, z wytrzeszczonemi oczami czubili się nie na żarty.

— Teraz mi oddasz sprawiedliwość! wołał burmistrz przytykając swoję pięść do nosa przeciwnika.

— Jak się podoba! mruknął radny Niklausse utykając na prawą nogę.

Stróż, który także był rozjątrzony nie wiadomo z jakiego powodu, uważał tę napaść jako rzecz najzupełniej naturalną, i niezwłocznie zaczął puszczać po całej dzielnicy wiadomość o spotkaniu pana burmistrza van Tricassa z panem radnym Niklausse.

XIV.

W którym wypadki posunęły się tak daleko, że mieszkańcy Quiquendonc, czytelnik a nawet sam autor żądają natychmiastowego zakończenia tej sprawy.

Ten ostatni wypadek dowodzi do jakiego punktu rozdrażnienia doprowadzoną była ludność miasteczka Quinquedonc. Dwaj najdawniejsi przyjaciele, ludzie najłagodniejsi niegdyś, posunęli się do tego stopnia gwałtowności! I to w kilka minut po tem, gdy u szczytu wieży wracała już ich wzajemna sympatyja, instynkt łagodności, temperament pojednawczy.

Doktor Ox dowiedziewszy się o tem co zaszło, nie mógł powstrzymać swej radości. Opierał się argumentom swego pomocnika, który widział rzeczy przybierające złą postać. Obadwaj ci ludzie nie byli wszakże wyjęci od ogólnie rozpowszechnionego wzburzenia i zdarzyło się iż posprzeczali się z sobą, na podobieństwo burmistrza z radnym.

Wreszcie dodać potrzeba że pewna kwestyja wyszła tu na plan pierwszy i odroczyła spotkanie zamierzone z powodu sprawy wirgameńskiej. Nikt nie miał prawa rozlewać swej krwi bezużytecznie, gdy ona należała aż do ostatniej kropli do ojczyzny, znajdującej się w niebezpieczeństwie.

Rzeczywiście jednak okoliczności były ważne, a cofać się było niepodobieństwem.

Burmistrz van Tricasse pomimo całego wojennego zapału, którym był ożywiony, nie sądził się obowiązanym do rzucenia się na nieprzyjaciela, nieuprzedziwszy go o tem. Wezwał więc Virgameńczyków, za pośrednictwem agenta straży ziemskiej Hotteringa, do uczynienia satysfakcyi z powodu krzywdy spełnionej w 1195 r. na territoryjum Quiquendonc.

d. n.

ROZMAITOŚCI.

— Wyższe szkoły ludowe przymusowe (*Fortbildung-schule*), zaprowadzone w całej Saksonii od 1 października r. b., są już w pełnym ruchu. Młodzież zajęta dzienną pracą w fabrykach i warsztatach, godzinami wieczornemi spieszy chętnie czerpać dalszą naukę, bez której elementarne jej wychowanie nie na wiele by się przydało. Protektorowie siła dobrego i nie bez słuszności, we względzie podniesienia ogólnego stopnia oświaty ludowej w kraju, po tych szkołach się spodziewają.

To samo można powiedzieć o Fröblowskich *Volks-Kindergärten*; te pożyteczne w wysokim stopniu zakłady dla małoletnich dzieci, do takiego stopnia są wszędzie przepełnione, że okazała się potrzeba znacznego ich pomnożenia. Stowarzyszenie *przyjaciół ludowych ogródków dziecinnych*, nie posiadając dostatecznych funduszów, urządza w tym celu bazar i loteryję fantową, mającą się odbyć w dniach 25, 26 i 27 b. m. Nie ma wątpliwości, że znajdzie poparcie w kraju, fundusze się zbiorą, gdyż sprawa ta leży wszystkim na sercu. A potrzeba wiedzieć, iż powyższe stowarzyszenie zajmuje się także kształceniem młodych dziewcząt w zakładach umyślnie na to powznoszonych, na nauczycielki i przewodniczki ogródków dziecinnych.

Ażeby zresztą dać wyobrażenie czytelnikom o ruchu pedagogicznym w Saksonii, przytoczę

kilka cyfr wygłoszonych w dniu 10 b. m. w Dreznie, na ogólnem posiedzeniu nauczycieli szkół okręgowych. Oczywiście, jest tu tylko mowa o okręgu drezdeńskim (*Bezirk Dresden-Land*), ale z tego można łatwo wnosić, co się dla oświaty publicznej w królestwie saskiem czyni.

Otóż w zeszłym roku szkolnym uczęszczało do szkół dzieci 40,780; czynnych nauczycieli było 220, z tych 117 etatowych; pobierało płacy ogółem 250,782 mark. W całym okręgu wydano w ciągu roku na budowę nowych lub przerobienie starych gmachów szkolnych 1,131,750 mark. Przeszło 50,000 mark wydały gminy z własnych funduszów na płacę pensyj nauczycielom nadetatowym, a zaś 15,200 mark na sprawienie rozmaitych szkolnych utensylijów.

— Jak donosi gazeta Ruski Mir, projektowanem jest przeprowadzenie nowej linii granicznej między Rossyją i Austryją, na południu królestwa Polskiego.

— Dnia 3 b. m. zajmujące rozprawy toczyły się w radzie państwa w Wiedniu. Deputowany z Galicyi Rydzowski, poruszył sprawę lichwy srożącej się nad biednym ludem galicyjskim, który skutkiem niej w wielu powiatach bliski jest najstraszliwszej nędzy. Niecni spekulanci przeważnie pochodzenia izraelskiego, pobierając 50 i 60 procent od wypożyczanych kapitalików, zagarniają siedziby i grunta nieopatrznych włościan. Z koła galicyjskiego wyszedł projekt odwołania patentu z r. 1869, znoszącego lichwę. Rada z uwagą słuchała Rydzowskiego i d. 4 b. m. miała rozprawy dalej prowadzić.

— W Galicyi w Korzenicy, niedaleko od Nowego Sącza, żydzi spalili plebaniją i zabudowania gospodarskie księdza Karpińskiego, za to, że z ambony mówił przeciw pijaństwu i zalecał wstrzemięźliwość. Wiadomo, że w Galicyi prawie tylko żydzi są szynkarzami.

— Profesor wszechnicy Jagiellońskiej p. Józef Łepkowski, przedstawił listownie królowi Saskiemu propozycyją, czyby nie uznał za właściwe przyczynić się do odnowienia grobowca przodka swego Augusta II (Mocnego), który ze wszystkich 14 grobowców królewskich na Wawelu, nie tylko w najgorszym znajduje się stanie, ale nawet nie jest ozdobiony odpowiednim pomnikiem. W udzielonej na list ten odpowiedzi, król Saski oświadczył, iż dołoży starań, aby w czasie jak najkrótszym słusznej tej potrzebie zaradzono kosztem prywatnej szkatuły J. K. Mości.

— Muzeum Szkoły Sztuk Pięknych mieszczące się przy ulicy Miodowej w pałacu Paca, otwarte bezpłatnie w niedziele i czwartki od godz. 11-ej do 2-ej w południe, przeniesione zostanie od Nowego Roku do innego gmachu. Dotąd jednakże miejsca stosownego nie wybrano.

Zbiór ten wzbogacony został niedawno nowemi obrazami, a mianowicie przybyły: „Portret mężczyzny,“ Rafaela Mengsa z wieku XVIII; „Towarzystwo w salonie,“ Knupfeva Mikołaja z wieku XVII; „Portret Kurfirszta Trewirańskiego, syna Augusta III,“ szkoła niemiecka; „Pejzaż, zachód księżyca,“ Senberga Lorentza, „Zabawa w parku,“ Watta Antoniego, szkoła francuska z XVIII wieku; „Uczony,“ szkoła flamandzka z wieku XVII, Tomasza Wyck; „Biskup Żmudzki X. Giedroyć,“ Franciszka Smuglewicza, z wieku XVIII; „Saturn z kosą w ręku i dziecięciem,“ Rubensa, z XVII wieku; „Atelier malarza,“ szkoła flamandzka; „Widok Wenecyi,“ Canalettego, z XVIII wieku.

— Sprawy egipsko-angielskie nie przestają zajmować dzienników — bo też i same fakta nie pozwalają na milczenie. Anglija postanowiła istotnie usadowić się w Egipcie i moralnie przynajmniej zrobić z niej sobie dogodną kolonję. Daremnie sir Northcote, minister skarbu królowej Wiktoryi, na bankiecie w jednem z przemysłowych miast Anglii, zapewnia i uspakaja, że Albion wszystkim zarówno dobrze życzy i chce, aby wszystkie mocarstwa z dobrodziejstw kanału Suezkiego korzystały. Naturalnie nie można innym korzystania tego wzbronić, ale gdyby było można, chętnieby się to zrobiło. Wyłączność zabezpieczanych interesów, zawiść egoistyczna i chęć zmonopolizowania na rzecz swoję wpływów politycznych nad Nilem — wszystko to zbyt jest widocznem, aby się największem nawet krasomóstwem ministeryjalnem zatrzeć dało. W tem co Anglija przedsiębierze, nie ma jeszcze nic szkodliwego dla świata i wszelkie krzyki tego rodzaju są tylko wpływem owej starej jak świat mądrości, która nakazuje nie dawać bliźniemu tego, coby się samemu posiąść chciało. Wolno więc Albionowi robić w Egipcie co zechce, i zdaje się, że gdy silnie coś postanowi, nikt mu oporu nie będzie chciał stawiać — chybaby nadeszła chwila wielkiej wojny, której wszyscy na Wschodzie czekają, a w której potęga angielska, będzie sobie miała położony nóż na gardle. Wtedy znajdzie się i opór przeciwko egipskim innowacyjom Anglii. Ale chwila owa jest jeszcze daleką i Anglicy mogą się bezpiecznie w Egipcie umacniać.

— Hiszpanija jest skazaną na pełne goryczy rozczarowania. Właśnie w chwili, gdy się miała rozpocząć stanowcza na północy kampanija, gdy plany były gotowe, rozkaz wymarszu dany, gdy młody król zwołał swój sztab jeneralny, w tym samym prawie czasie spadły na owej północy takie śniegi, że drogi są literalnie do przebycia niepodobne! Jeszcze więc trzeba będzie czekać, znowu i zawsze czekać. W innym kraju wodzowie przewidzieliby coś podobnego, domyśliliby się przecie, że w grudniu może śnieg padać, ale hiszpanie w tak głębokie domysły się nie wdają. Przygotowali tylko naiwnie wszystko co do wyprawy jest potrzebne, a dopiero gdy im pułkownik zmarzł na czele armii północnej, dopiero wtedy pomiarkowali, że jest zimno. Wyszedł więc rozkaz wstrzymujący całe plany do czasu ustalenia się pogody, boć wódz jest w obawie, żeby mróz, tak niedyskretny dla pułkowników, nie rzucił się i na jenerałów. Szczęśliwi karliści.

— Do *Weserzeitung* piszą z Berlina, że hr. Andrassy przedstawia już rządowi rosyjskiemu projekt odnoszący się do reform tureckich, którego wypracowanie mu powierzono. Przedstawienia tego ma dopełnić w Petersburgu baron Langenau, poseł rosyjski, który niedawno przejeżdżał przez Berlin. Ponieważ zaś i hr. Karolyi niedawno rozstał się z hr. Andrassy i zna doskonale jego plany, przeto mógł je także objaśnić. Wymiana myśli między temi trzema mężami stanu nie pozostawia żadnej wątpliwości, że obadwa mocarstwa północne zaaprobują projekt hr. Andrassy. Jak tylko to nastąpi, wnet będzie on zakomunikowany i pozostałym mocarstwom z prośbą, ażeby się nań zgodziły. Z Wiednia znowu piszą do *Nat. Ztng.* że nikt wprawdzie nie wierzy temu, aby sułtan istotnie miał zamiar przeprowadzić reformy, że atoli sfery urzędowe z równą niechęcią myślą o użyciu środków gwałtownych, pomimo zalecanej przez Angliję okupacyi. I to właśnie jest kwestyja, koło której kręcą się jeszcze bieżące układy. Było już dosyć czasu do przekonania się, że od sławnego reformatorskiego irade upłynęły w Hercogowinie dwa miesiące, a Porta nie znalazła chwili na urzeczywistnienie chociażby jednej ze swych obietnic.

Autorowie i nakładcy którzy życzyć sobie będą izby o ich pracach lub wydaniach wzmiankowano w „Opiekunie Domowym,“ raczą nadsyłać do Redakcyi egzemplarz dzieła wydanego. Oceny każdej nadesłanej nowości, w jak najkrótszym czasie pomieszczane będą w piśmie naszem.

Дозволено Цензурою. Варшава 4 (16) Декабря 1875 г. W drukarni J. Korzeniewskiego. — Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769a (12 nowy).

Wydawca J. Korzeniewski. Redaktor H. Perzyński.